

Ewa Siatkowska
Uniwersytet Warszawski

KOBIETY Z KRWI I KOŚCI [WSPOMNIENIA]

Walentyna z Piwkowskich Gościcka (1856-1909). *Od tego się zaczęło*, opowiada prawnuczka Ewa Siatkowska.

Korzenie. Piwkowscy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie byli polską, ale ukraińską rodziną. Nazywali się Piwko i mieli herb Kosemczyk. W rodzinie krążyła legenda o przodku atamanie kozackim. Z czasem zmienili nazwisko na Piwkowscy i spolonizowali. W której generacji nabyli swoje gniazdo rodzinne, majątek Modzele, trudno dociec. Należał on do parafii Klukowo, gdzie na cmentarzu znajduje się dotąd grób rodzinny Piwkowskich. Ojciec Wali, Franciszek Piwkowski, za udział w powstaniu 1863 roku był więziony w twierdzy Modlin. Siedmioletnia wówczas Wala musiała te czasy pamiętać. Matka Walentyny nazywała się Honorata z Pstrokońskich Piwkowska (1829-1905). Pstrokońscy byli skoligaceni z arystokracją – z Tarnowskimi i Walewskimi (tymi od „pani Walewskiej”). W Modzelach kontynuowano tradycje polskich elit intelektualnych, a także bawiono się wesoło, bo czcigodna babcia lubiła młodych, dbała o ich edukację i rozrywkę. W czasie, kiedy mąż więziony był w twierdzy, pani dziedziczka prowadziła całe gospodarstwo, na które składały się trzy majątki: Modzele, Gościmin i Zawady. Była głęboko religijna, bolała nad pojawianiem się w łonie Kościoła różnych sekt. Ufała jednak w miłosierdzie boże. Jej ulubionym powiedzeniem było: „jak Bóg zsyła na człowieka krzyż, to zawsze daje mu też siłę do jego udźwignięcia”. Nie rozpaczała, kiedy umierały jej dzieci, kiedy straciła męża, a potem dwóch zięciów i wnuki. Była patriotką. W czasie powstania razem z mężem zaopatrzywali powstańców w odzież i żywność. Osobowość babci Honoraty wywarła silne piętno na postawach życiowych jej potomków, szczególnie w linii żeńskiej.

Rekonstrukcja wizerunku Walentyny Gościckiej. Była jedną z córek Honoraty. Wiemy o niej mało. Odnaczała się wyjątkową urodą. Jak widzimy na fotografii z 1875 roku, była blondynką, o ciemnych brwiach i rzęsach, regularnych rysach i imponującym warkoczu. Ale jest i drugie zdjęcie z roku 1895, przedstawiające uczesaną w kok staruszkę (włosów widać nie obcięła), podpisane Walentyna z Piwkowskich Gościcka. Co zniszczyło jej wdzięk i urodę? Czy wyszła za mąż z miłości? Chyba tak, bo dziadek Jan Kanty był przystojny i elegancki, co widzimy na zdjęciach. W chwili ślubu Wala była bardzo młoda, miała nie więcej jak 16 lat, co wynika z rekonstrukcji wieku jej starszych dzieci. Na zdjęciu zrobionym w 1878 roku córeczka Joanna wygląda na 5 lat, czyli urodziła się pewno w 1873 roku, kiedy matka miała lat 17. Tomasz był młodszy. Oboje zmarli na dyfteryt. Był jeszcze Janek – zmarł na

szkarlatynę. Po ślubie młodzi państwo Gościckcy zamieszkali w majątku męża, w Brulinach. Młodziutka Wala nie miała wtedy wsparcia ze strony matki, mieszkającej w Modzelach, ani ze strony teściowej rezydującej w Świerzewku. Dzieci jej umierały, nękały ją poronienia, porody miała ciężkie (cierpiała na tzw. przodujące łożysko). Zmarła w krwotoku, mając lat 53. Prawdopodobnie to był ostatni w jej życiu poród. Lekarze dawno przestrzegali ją, żeby dała sobie spokój z macierzyństwem. Ale ona się uparła. Udała się na Jasną Górę prosić o pomoc Matkę Boską. Jechała karetą i całą drogę stała, żeby się bardziej umartwić. I urodziła się dziewczynka, którą matka nazwała Marią, chociaż w rodzinie nie wiemy, dlaczego mówiono na nią Lila. To było pierwsze dziecko Wali, które się wychowało. Zaraz w rok później urodziła się druga córka nazwana Józefą, a zdrobniale Ziutką. Determinacja Walentyny została nagrodzona. Te dwie córki dały początek dwóm odgałęzieniom rodu Gościckich, czyli nas wszystkich. Gdyby nie upór Wali, nie byłoby o czym pisać wspomnień. Po dłuższej przerwie przyszło na świat dwu chłopców – jeden po drugim – Jan i Tadeusz. Obydwaj zginęli w czasie pierwszej wojny światowej, nie pozostawivszy potomków.

Wala była bardzo dobrą matką. Martwiła się o synów, kiedy pojechali na studia do Warszawy, a szczególnie najmłodszym Tadzkiem, który był słabowity i ciągle trapiły go migreny. Zachowały się jej listy, zaczynające się od „Synkowie najdrożsi” i dalej przestrogi: „całe życie walczyć trzeba”, „bez wykształcenia nic nie osiągniecie”, „gdy niegrzecznie się odzywacie, okazujecie płytkość swego rozumu i serca i rodzicom ublizacie; bądźcie z uznaniem dla swoich profesorów. Do serca stęsknionego was przytulam i całuję, polecając was opiece Najwyższego, a wy proście o zdrowie dla swojej starej matki, która was całą głębią swej duszy kocha. WG [Walentyna Gościcka]”. Poświęcała się też córkom. Ziutka, kiedy była już zamężna, pisze, że dowiedziała się od Ojczulka o planowanym wyjeździe Matki do nich, pociągami. Była przerażona: „Niech Bóg bronii, Matuś, przecież Matka mogłaby sobie zaszkodzić...” i w serdecznych słowach wybija matce ten pomysł z głowy. Czy Walentyna nie poczuła się niepotrzebna? Macierzyństwo babci Wali to była droga przez mękę. Pod koniec tej drogi trochę się rozjaśniło. Doczekała się pięciu wnuczek: Lenki, Nulki, Bisi, Esi i Wisienki. Nie mieszkała z nimi, ale posyłała im kartki z kotkami.

A jakie były relacje Walentyny z mężem? Przeczytajmy fragment listu: „Najdroższy! Serdecznie mi przykro było, że zasnęłam godzinę Twojego odjazdu. Ani przypuszczałam, aby mnie taki mocny sen ogarnął. Stefa [prawdopodobnie gosposia] zapewniała mnie, że pojechałeś na dzień lub dwa, tymczasem jakoś zasiedziałeś się”.

Jan Gościcki był członkiem Towarzystwa Kredytowego Ziemian i pod pretekstem uczestnictwa w zebraniach często i na długo wyjeżdżał do Warszawy. Żona zostawała sama. I tym razem tak było. To mąż, bez pożegnania, uciekł od żony, korzystając, że usnęła, a ona brała winę na siebie i jeszcze go przeproszała. Posiedzenia Towarzystwa Ziemian musiały być kosztowne, bo Jan Kanty przehułał całe Bruliny. Inna rzecz, że gospodarstwo bez gospodarza podupadało samo. Bruliny zostały sprzedane, pozostał wydzielony folwark Śniary, gdzie na starość zamieszkała Walentyna. Czuła się tam bardzo źle. W letnie upały dusiła się w małym dworku, krytym papą. Nazywała Śniary „wygnaniem”. Ale jeszcze wciąż myślała o swojej rodzinie, kochając ją bezwarunkowo i starając się w miarę swoich możliwości ją integrować.

W pamięci potomnych Wala pozostała tylko jako żona Jana Gościckiego. Oto treść jej nekrologu: „Śp. Walentyna z Piwkowskich JANOWA GOŚCICKA, żona Radcy Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, właściciela majątków Bruliny i Śniary”. O samej Walentynie ani słowa. Bo i nie było o czym pisać. Takich cichych bohaterek jak ona były tysiące.

Hanna Maria, *primo voto* Korycińska, *secundo voto* Gościcka. *Kobieta wyprzedzająca epokę*, opowiada Ewa Siatkowska (druga żona Jana Kantego była tylko „przyżeniona”, ale włączyłam ją do niniejszego opisu ze względu na jej wyjątkowość na tle tamtej epoki). Wdowiec bardzo szybko się pocieszył. W trzy lata po śmierci żony ożenił się powtórnie z Hanną Marią Korycińską, właścicielką majątku Wirów nad Bugiem. Złośliwie można pomyśleć, że po prostu nie miał gdzie mieszkać, bo i Śniary sprzedał. Prawdopodobnie nie został współwłaścicielem Wirowa, bo w rodzinie mówiło się, że wszystko jest „dzia- dziusiowej”, jak nazywana była druga żona (nigdy „babcia”); dom był dziadziusiowej, pola były dziadziusiowej, krowy były dziadziusiowej. Zresztą nowy mąż gospodarstwem się nie interesował, trochę pomagał tylko w prowadzeniu księgowości.

O drugiej żonie Jana Kantego wiemy jedynie z tradycji rodzinnej. W odróżnieniu od Walentyny, charakteryzowała się oschłością uczuciową, nigdy nie pieściła wnuków. Co prawda, były to przybrane wnuki, ale własnych nie miała. Zmieniała się tylko, grając na fortepianie. Wtedy jej twarz stawała się rozrzewniona i miękka. Służbę trzymała krótko. Miała dwu „lokał”, topornych małoruskich chłopaków, których za każde przewinienie biła różgą. Ponieważ była niziutka, wchodziła na stołeczek i z tej pozycji wymierzała sprawiedliwość. Historia milczy, jak było z mężem. Jedno jest pewne, że się jej bał i wolał ustępować, żeby mieć spokój. Hanna Korycińska wyprzedzała swoją epokę. Miała duszę *businesswoman*. Była rzutka, świetnie zorganizowana, cieszyła się autorytetem otoczenia. Pod jej rządami Wirów, któremu groziła ruina, awansował do najlepiej prosperującego gospodarstwa w okolicy. O żywotności Hanny Korycińskiej krążyła trochę makabryczna legenda. Nie biorę odpowiedzialności za jej autentyczność, przytaczam to, co słyszałam. Pani dziedziczka była bardzo zdrowa i długo żyła, ale w końcu zmarła, tzn. wszystkim się zdawało, że zmarła. Złożono ją do trumny i starym zwyczajem zaczęto przy zwłokach śpiewać godzinki. Nagle do chóru dołączył się słabiutki cienki głosik nieboszczki. Co było potem, łatwo sobie wyobrazić. Nie można jednak portretu dziadziusiowej malować tylko w ciemnych barwach. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, rodzina Gościckich uciekła do Wirowa i została tam dobrze przyjęta.

Kobiety z rodu Rakowieckich

Maria (Lila) z Gościckich Rakowiecka (1879-1944). Opowiada wnuczka Barbara Mórawska. Babcię Rakowiecką (Matkę mojej Matki) pamiętam jako mocno starszą osobę, poruszającą się z trudnością i niechętnie. Bardzo źle widziała, ale mimo to wykonywała różne robótki – trochę szyła, więcej robiła szydełkiem. Pałała bardzo dużo papierosów. Moje najdawniejsze wspomnienie Babci jest jeszcze z Komorowa, gdzie Rodzice moi mieszkali w początkach

swego małżeństwa i tam się urodziłam. Babcia opiekowała się mną w okresie niemowlęstwa i bardzo wczesnego dzieciństwa – z tego czasu nie pamiętam postaci, ale różne sytuacje z nią związane. Jednakże najwięcej o Babci dowiaduję się z pamiętnika mojej Mamy, która opisuje ją około trzydzieści lat młodszą niż obraz zapisany w mojej pamięci. Przedstawia ją jako osobę wyjątkowo piękną, a o jej urodzie świadczą fotografie z tego czasu.

Maria Rakowiecka z Gościckich urodziła się jako czwarte dziecko Walentyny z Piwkowskich Gościckiej i Jana Gościckiego, ale była pierwszym, które przeżyło (jej starsze rodzeństwo umierało we wczesnym dzieciństwie). Miała jeszcze młodszą o rok siostrę Józefę oraz dwóch o wiele młodszych braci Jana i Tadeusza. Na Babcię mówiono Lila, a na jej siostrę Ziuta. Obydwie kształcone były w domu. Często przebywały w Modzelach – majątku dziadków Piwkowskich, gdzie o wychowanie i edukację Wnuczek dbała ich Babcia Honorata Piwkowska z Pstrokońskich. Jak wszystkie córki ziemiańskie, były przygotowywane głównie do roli żony, matki, pani domu. Ze wspomnień mojej Matki wynika, że Lila z tych zadań wywiązywała się godnie.

Szczegółów zamążpójścia Marii-Lili nie znam. Na starych zdjęciach zachowanych w albumach mojej Mamy widzę piękną parę – Witold Rakowiecki oraz Maria z Gościckich Rakowiecka. Ich najstarsza córka Magdalena urodziła się w 1902 roku, następnie Anna w 1903, a Elżbieta – moja Matka – w 1907 roku. Wspomnienia mojej Mamy o życiu rodziny dotyczą okresu od 1910 roku do połowy lat dwudziestych. Zachowały się też listy Babci do osób jej bliskich oraz ich wspomnienia o niej – czytając te dokumenty, doszłam do wniosku, że była ona bardzo wrażliwa na los i kłopoty innych, a jednocześnie troszczyła się o wszystkich w rodzinie, nie tylko o swe dzieci i męża, usiłowała każdemu pomóc lub chociaż coś doradzić. W listach Babci charakterystyczne jest bogactwo myśli, informacji, ale również języka – są to małe utwory literackie.

Moja Mama najserdeczniej wspomina okres swego wczesnego dzieciństwa w Bałtowie. Dziadek Witold był wówczas plenipotentem księcia Druckiego-Lubeckiego, administrował klucz jego majątków w świętokrzyskim wraz z fabryką porcelany w Ćmielowie, a pałac w Bałtowie był mieszkaniem Rakowieckich. Nie wiem, dlaczego Dziadek zmienił pracę – prawdopodobnie około roku 1913. Po Bałtowie były Kielce, gdzie Witold Rakowiecki objął posadę dyrektora Syndykatu Rolniczego. Mieszkanie było w domu z ogródkiem, ale o wiele skromniejsze w porównaniu z bałtowskim pałacem i parkiem, a Babcia i tam starała się zapewnić jak najlepszą atmosferę życia rodzinnego. Latem 1914 roku, nie przewidując wojennej zawieruchy, Maria wybrała się z Córkami na objazd rodziny w ciechanowskim, pułtuskim i łomżyńskim. Moja Mama wspomina radosny nastrój tych spotkań i wesołą rodzinną, towarzyską atmosferę. Babcia Lila uczestniczyła w organizowaniu tzw. żywych obrazów i sama w nich występowała. Te wojaże zakończyły się w Wirowie – majątku drugiej żony ojca Marii (mego pradziadka, matkę Maria utraciła, mając trzydzieści lat). O swojej macosze Babcia mówiła „Tatusiowa” i według mojej Mamy, szanowała ją. Pobyt w Wirowie był zakończeniem beztróskiego lata i początkiem trudnych dni dla Babci Lili. Wybuchła I wojna światowa – urwał się kontakt z Witoldem – do Kielce wkroczyły wojska austriackie i skończyły się Marii pieniądze. Do tych problemów doszła choroba mojej Mamy, mającej wtedy 7 lat. W Wirowie zostały do Bożego Narodzenia, później były w Małkini u ciotecznego

brata Lili – księdza Leona Gościckiego. Znalazły się w ogniu wojny – pierwsze samoloty i bombardowania. Babcia dzielnie poradziła sobie w tych trudnych warunkach – porozumiała się z oficerami rosyjskimi, a następnie niemieckimi. Przy ich pomocy dostała się z Córkami do Siedlec, a następnie do Warszawy, gdzie zakończyła się wojenna wędrówka. Powrót do Kielc był już pod opieką Dziadka Witolda.

Na podstawie wspomnień mojej Mamy zauważyłam, że Babcia świadomie dbała o ukształtowanie charakterów swych Córek. Główne zasady to patriotyzm i religijność, ale bez szowinizmu i fanatyzmu. Szanowała ludzi innych narodowości i wyznań, np. Żydów i prawosławnych. Następną wyraźną zasadą to szacunek dla wszystkich ludzi, bez względu na ich pozycję społeczną, a wtedy rozwarstwienie i różnicowanie było ogromne i mocno akcentowane. Wkrótce po powrocie z wojennej tułaczki Maria poważnie zachorowała na oczy – według lekarzy, prawdopodobnie na skutek ciężkich przeżyć i wyczerpania nerwowego. Długo trwała kosztowna kuracja w Krakowie.

Dziadek znów zmienił pracę – otworzył przedsiębiorstwo handlowe pod nazwą Export – Import w Warszawie. Zamieszkali w stolicy, ale w warunkach o wiele gorszych niż w Kielcach. Życie stało się o wiele trudniejsze, co negatywnie wpływało na stan zdrowia Marii. Dopiero około roku 1920 sytuacja finansowa i mieszkaniowa rodziny poprawiła się. Poza kupnem mieszkania w Warszawie, Dziadek nabył mały folwark Śniary – wykrojony z Brulin, rodzinnego majątku Gościckich, sprzedanego przez Ojca Marii po śmierci pierwszej żony Walentyny.

Wakacje w Śniarach w 1920 roku przerywa kolejna wojna. Znów ciężkie przeżycie dla Marii – obydwie starsze Córki (Lenka i Nulka) po krótkim kursie sanitarnym podjęły pracę w szpitalu przy rannych na froncie. Witold też zgłosił się do wojska i szykował się na front – o co Maria nawet miała do niego żal. Jednakże nie zdążył wziąć udziału w walkach. Wojna skończyła się. W sprawie wojny z Rosją wywołanej przez Piłsudskiego, Maria była całkiem innego zdania niż jej mąż. Dziadek był pod urokiem Naczelnika i zgadzał się z nim we wszystkim, a Babcia uważała wyprawę na Kijów za „szaleństwo megalomana udającego Chrobrego”. Charakteryzuje to Marię jako osobę mającą swoje zdanie i umiejącą je uzasadnić.

Do pełnego zdrowia i formy sprzed choroby Babcia już nigdy nie doszła, ale jeszcze długo była aktywnym i potrzebnym członkiem rodziny. Dorosłe Córki wychodziły za mąż, trzeba było przygotować posagi i pomóc im w życiowym starcie. Najstarsza Lena około 1925 roku wyszła za inżyniera Jerzego Roszkowskiego, którego znała od wczesnej młodości. W 1927 roku urodził się mój cioteczny brat Grzegorz Roszkowski. To małżeństwo chyba nie nastęrczało Babci większych kłopotów. Młodsza – Nula – od dziecka chorowita i bardzo delikatna psychicznie zawsze była źródłem zmartwień swej Matki. Wyszła za Tadeusza Jacobsona i w 1932 roku urodziła bliźnięta: Joannę i Stefana. Zmarła w 1934 roku, zostawiając maleńkie dzieci. Dziadkowie tą tragedią obwiniali Zięcia, więc kontakty z nim i Wnukami urwały się, zwłaszcza że wkrótce ożenił się ponownie. Sądzę, że było to dla Babci bardzo bolesne.

Nie wiem, jak długo Dziadkowie mieszkali w Śniarach, ale chyba po zamążpójściu mojej Mamy przenieśli się do Wujostwa Roszkowskich do Zawiercia. Wujek Jerzy pracował tam w hucie lub odlewni – był członkiem Dyrekcji (szczegółów tych spraw nie znam).

Najmłodsza Córka – Elżbieta – moja Mama, wyszła w 1932 roku za inżyniera Czesława Talmonta i w okresie mego niemowlęctwa i wczesnego dzieciństwa (1933-1935, choć dokładnie nie wiem) Babcia Rakowiecka mieszkała u nas w Komorowie, bo opiekowała się mną. Mama moja długo chorowała po porodzie. Dziadek Witold Rakowiecki długo chorował i zmarł w lipcu 1936 roku, więc w okresie 1935-1936 Babcia była w Zawierciu. Kiedy w 1937 roku przenieśliśmy się z Komorowa do Zalesia (Ojciec mój dzierżawił tam nieduży folwark z młynem), Babcia odwiedzała nas, a na stałe zamieszkała w 1939 roku. Była już bardzo słaba i nieporadna, ale bardzo interesowała się tym, co robimy obie z moją młodszą Siostrą Marią (Rysią) i często robiła na ten temat uwagi. Na przykład kiedyś budowałyśmy ołtarzyk i stroiłyśmy kwiatami, kłócąc się, a Babcia zauważyła: „modli się pod figurą, a diabła ma za skórą” i kazała nam podać sobie ręce i pogodzić się.

Gdy zaczęła się wojna i okupacja, mój sześciolatek i uporządkowany świat zaczął się walić. W trudnych chwilach Babcia była schronieniem – kucalam przy jej fotelu lub nawet chowałam się pod jej szal. Umiała też wytłumaczyć niezrozumiałe sprawy. Szczególnym przykładem może być takie zdarzenie. Wiosną 1940 roku Niemcy zajęli połowę naszego domu na kwatery dla wojska. Moje Siostry i ja bałyśmy się hałaśliwych żołnierzy oraz ich śpiewów. Któregoś dnia weszłam do naszej kuchni, a tam przy stole siedział jeden z tych strasznych dla mnie ludzi i płakał – rozpakował paczkę, którą dostał i płakał. Zobaczywszy mnie, wyciągnął w moją stronę dłoń z domowym ciastkiem, ze słów usłyszałam i zapamiętałam tylko „Muter”. Hardo powiedziałam „Nie” i wyszłam. Zaraz opowiedziałam o tym Babci, a ona skarciła mnie: „Źle zrobiłaś – on ma smutek. Dawał ci ciastka pewnie upieczone przez matkę – muter. Tęskni za nią. Żołnierz nie zawsze chce iść na wojnę”. Babcia zobaczyła we wrogu nieszczęśliwego człowieka – trudno mi było to zrozumieć.

Przeżyła z nami trudy wysiedlenia z Zalesia w 1941 roku i pobyt w obozie w Działdowie oraz ponury transport do Piotrkowa Trybunalskiego już w Generalnej Guberni. Stamtąd już bez eskorty dojechałyśmy do Warszawy, gdzie wtedy mieszkali Wujostwo Roszkowscy. Rozstałyśmy się, bo Mama z nami trzema zatrzymała się u Dziadków Talmontów, a Babcia została u Cioci Leny. Później niewiele się spotykaliśmy.

Babcia upadła w mieszkaniu i złamała nogę w biodrze. Już nigdy po tym zdarzeniu nie mogła chodzić i konieczna była ciągła opieka, a żadna z córek nie miała możliwości jej zapewnienia. Musiała zamieszkać w Domu Starców w Warszawie przy ulicy Belwederskiej. Odwiedzałyśmy ją z Mamą, póki byłyśmy w Komorowie. Wiosną 1943 roku wyjechałyśmy do kuzynki Dziadka Rakowieckiego, mającej majątek koło Opoczna – Prymusową Wolę. Byłyśmy tam do końca okupacji. W 1944 roku, po Powstaniu Warszawskim, Babcia znalazła się w Łowiczu, dokąd Niemcy przenieśli Dom Starców. Nie było możliwości zabrania Babci do Prymusowej Woli. Nie wiem, jakie były warunki życia w tym domu w Łowiczu i pod czym był nadzorem – chyba niemieckim. Dziwnym trafem duża grupa pensjonariuszy zmarła tego samego dnia – 18 grudnia 1944 roku i wszyscy zostali pochowani w zbiorowej mogile na łące, za starym prawosławnym cmentarzem. Tam, gdzie była tabliczka z nazwiskiem Babci, Mama położyła płytę z piaskowca, obok jest kamienna płyta upamiętniająca jakiegoś mężczyznę. Całość mogiły zapadła się w ziemię i porośla trawą, nie ma śladu

po tych, co tam spoczywają. Po latach, przy renowacji grobu Dziadka Rakowieckiego w Zawierciu, umieściliśmy płytę upamiętniającą Babcie.

Opowieść o Marii-Lili Rakowieckiej z Gościckich sklejoną z okruchów informacji niech ożywi tę osobę w myślach potomnych, z których większość nie mogła nawet jej poznać.

Józefa (Ziutka) z Gościckich Gierzyńska (1880-1926). Opowiada wnuczka, Ewa Siatkowska. Ziutka pojawia się na świecie. Wczesna młodość. Ziutka była źle urodzona. Po pierwsze matka nie zdążyła dojść do siebie po poprzednim porodzie (między siostrami był niecały rok różnicy), więc i ona była słabiutka, po drugie była dzieckiem środkowym (po niej przyszło na świat jeszcze dwu braci), a generalnie pozycja środkowego dziecka nie jest dobra. Rodzice już się nacieszyli poprzednią latoroślą i pojawienie się następnego potomka przyjmują obojętnie. Poza tym Ziutka nie była taka ładna jak Lila. Natomiast w jednym się jej poszczęściło. Babcia Honorata, która Walaż zaraz po jej ślubie zbyt się nie interesowała, teraz zajęła się edukacją obydwu panien Gościckich i jeszcze ich ciotecznej siostry Halinki Kleitz. Zabrała je do Modzel i zatrudniła do nich nauczycielkę, pannę Julię Krzymuską, świetnie zorientowaną w prądach literackich Młodej Polski, należąca do środowiska Stanisława Wyspiańskiego. Zachowały się zeszyty Ziutki z lekcji z panną Julią. Zawierają liryczne wiersze m.in. Kazimierza Przerwy Tetmajera i wcześniejsze – Mickiewicza, Kochanowskiego. Poezja ta wywarła silne piętno na psychice Ziuni. Wyrosła na patriotkę, dobrze zorientowaną w tym, co się dzieje w świecie, a poza tym – tak jak inne dziewczęta w jej wieku – marzącej o wielkiej, romantycznej miłości, o księciu z bajki, który po nią przyjedzie na białym koniu. I taka miłość przyszła. Choć była tylko epizodem w życiu panny Gościckiej, pamiętała o niej do śmierci.

Bajka o Księżu i Kopciuszku. Pewien arystokrata z sąsiedztwa Brulin, którego nazwisko w pamięci rodziny się zatarało (a może celowo nie było wymieniane), zaczął Ziutkę, jak się dawniej mówiło, emablować. A gest miał wielkopański. Wyprawił wspaniały bal, rzekomo dla wszystkich ziemian w okolicy. A tak naprawdę dla niej. Dowiedział się, jakiego koloru będzie miała suknię. Miał to być kolor żółty. Wtedy kazał salę balową wybić złocistym atłasem, a na stołach poustawiać bukiety kaczeńców. Bal się rozpoczął. Zagrała orkiestra i w pierwszą parę ruszył książę pan z Ziutką Gościcką. Jest w tym coś z bajki o Kopciuszku. Tylko że bajka skończyła się dobrze, a życie nie. Książę się z Kopciuszkiem nie ożenił. Rodzina mu wyperswadowała, że panna Gościcka, zwykła szlachcianka, to nie partia dla niego.

Miała babcia Ziutka przez całe życie oczy szeroko otwarte na sprawy publiczne i sprawy rodzinne, ale wciąż tlił się w jej sercu płomyk intymnych wspomnień z młodości. Mąż (o którym za chwilę) był, jak się wtedy mówiło, „zacny”, ale to już nie było to. Kiedyś zwierzyła się najstarszej córce: „ja się nigdy nie pocałowałam z miłości”. Symptomatyczny jest przechowywany wśród pamiętek Ziutki wiersz *Po balu* (może jej autorstwa?), którego fragment brzmi następująco:

Znikły muzyki tony
Wraz z blaskiem rannych zórz,
Tłum zniknął rozbawiony

Gwiazdy zagasty już.
Gdyby kto mógł na chwilę
W głąb rzucić okiem swym...
Ile goryczy, ile po balu tym.

Koniec balu, koniec bajki. Pozostała gorycz.

Lata dojrzałe. Ziułka wyszła za mąż w wieku 27 lat, czyli według ówczesnych standardów, była już „starą panną”. Narzeczony też nie był pierwszej młodości. Nie miał zabójczej urody księcia – miał szpakowate wąsy i łysinę, nie był wysoki. Ale był człowiekiem odpowiedzialnym i stworzyli z Ziułką dobrą rodzinę. W każdym razie za taką uchodzącą. Córka Jadwiga (Wiśnia) tak pisze o swojej Matce:

Mam w oczach pewne obrazy.

Matka siedzi pod stertą słomy z robótką w rękę. Ja z zapałem zjeżdżam ze sterty [...].

Inny obraz: spacer po kolacji do mostu i odpoczynek na ławeczce. Most łączył szeroką topolową aleję prowadzącą przed ganek z podwórzem. Koło mostu zbiegała się polna droga, zwana „za ogrodem” z kawałkiem szosy dojazdowej do brukowanej drogi publicznej. Tamtędy wracały krowy z pastwiska, Siedziałyśmy z Matką na ławeczce i patrzyłyśmy.

Pamiętam wyjazdy Rodziców w sąsiedztwo. Matka w czarnej aksamitnej sukni, w wysokich sznurowanych bucikach z zamszu reniferowego, okładanych lakierem. Bucików tych nie sznurowała nigdy sama. To była rola pokojówki albo nas – córek. Do tego surowego stroju – zawsze pod szyję, z długimi rękawami bez względu na porę roku, nosiła broszkę z brylantem. Na jednym palcu trzy pierścionki z brylantami, włożone wszystkie razem, na szyi, na długim złotym łańcuszku, złoty zegarek w kopercie.

Pamiętam też Matkę siedzącą na stojącym pod oknem w stołowym pokoju dużym, wyściełanym fotelu o wysokim oparciu. Na fotelu tym, po sześciu latach wdowieństwa, zmarł na serce mój Ojciec. Tam haftowała albo coś cerowała. Sporo czasu też Matka spędzała przy dużym jesionowym biurku na pisaniu listów. Biurko stało w stołowym pokoju, po drugiej stronie weneckiego okna. No, a później była już tylko kanapa w kącie stołowego lub w sypialnym. Spędzałyśmy tam z Ewą [moją Mamą – E.S.] długie godziny, podając Matce krople, wachlując ją. I ciągly niepokój ścisłał serce.

To obraz zewnętrzny naszej Matki. Obraz wewnętrzny przedstawia osobę bardzo inteligentną, czytającą, o błyskotliwym, „francuskim”, jak powiedziała jedna ze znajomych, dowcipie. Nie było mowy o żadnych kawałach w Mamy obecności. Umiała prowadzić interesujące rozmowy, siedząc na przyjęciach u szczytu stołu, często w towarzystwie księdza prałata. Interesowała się polityką, co u kobiet było wtedy rzadkością. Miała poglądy wyróżniające się na tle ówczesnych postaw skrajnie narodowych. Twierdziła, że pokój zapanuje na świecie wtedy, kiedy powstaną Stany Zjednoczone Europy. Czy to nie było przecucie Unii Europejskiej? Nie była nacjonalistką, ale gorącą patriotką. Wychowała się przecież na patriotycznych wierszach podsuwanych przez pannę Krzymuską.[...]. Moja Matka, moja Mamusia. Kochałam ją bardzo, bardzo.

Różne role życiowe Ziułki. Ziułka opiekowała się starym ojcem. Ciągłe posłaniec zawoził od niej do Wirowa listy zaczynające się od słów „Kochany Ojczulku...”, opiekowała się również dużo młodszymi braćmi, którzy ją traktowali jak matkę, opiekowała się swoimi dziećmi, a szczególnie wyczekanym synkiem „Jasiulkiem”. Opiekowała się służbą folwarczną i tą z czworaków. Stanowiła często pierwszą pomoc lekarską. Apteczka domowa była zawsze dobrze zaopatrzona. Nawet leczyła zwierzęta. Raz, przy pomocy kowala, zrobiła łubki dla konia, który złamał nogę. Wyleczyła kotkę ze zmiążdżoną łapką. Koty bardzo lubiła, a szczególnie czarne.

Ziułka realizowała się jednak przede wszystkim jako matka. Spójrzmy na jej list do córek – Esi i Wisienki, które były w Warszawie na pensji panny Plater: „córeczki moje najmilsze, przesyłam Wam przez dobrą ciocię Zosię Jarocką babkę z owocami. Niech jej Wiśnia za dużo naraz nie zje”. I dopisek ojca: „Kochane Córuchny, posyłam wam pieniądze – 10 rubli, żebyście miały na swoje wydatki”.

Ostatni akt dramatu. Józefa Gościcka coraz poważniej podupadała na zdrowiu. Okazało się, że jej choroba to wcale nie reumatyzm, jak się mówiło, „z wilgoci” (wszystkie polskie dwory były wilgotne, bo każdy musiał mieć – właściwie nie wiadomo po co – staw), ale ciężkie zatrucie od nerek, czyli uremia. Pierwszy rzut choroby wystąpił po urodzeniu mojej mamy w roku 1907. Podobno babcia Ziułka raz zemdląła. Wzięto ją do warszawskiego szpitala, potem do sanatorium, ale jeszcze diagnoza nie została wtedy postawiona. I tak choroba rozwijała się latami. Wreszcie wybuchła jesienią 1926 roku. Babcia zmarła w grudniu 1926, w Warszawie, w szpitalu pod wezwaniem swojego patrona św. Józefa, na ulicy Hożej.

Kochający mąż wynajął prywatnie pielęgniarkę, będącą jednocześnie „damą do towarzystwa”. Ale los spletał figła. Dama do towarzystwa zaczęła również zajmować się zropczonym mężem i... zaczęło między nimi iskrzyć. Czy umierająca Ziułka coś zauważyła? Chyba tak, bo tu kobiety mają szósty zmysł. Mama opowiadała mi, że kiedy przyszła pocałować babcię na dobranoc, zastała ją zapłakaną. To było ich ostatnie pożegnanie.

Pogrzeb. Dziadek Waclaw Gierzyński wyprawił swojej żonie pogrzeb, jakiego Warszawa nie widziała. Kondukt z kościoła Zbawiciela na Powązki szedł piechotą. Trumna jechała na karawanie, ciągniętym przez czwórkę pięknie przystrojonych koni ze Szwejk. Z obydwu stron konie prowadziło czterech stangretów ubranych w jednakowe kozuchy. Orkiestra grała marsza żałobnego. Za trumną szedł mąż, trzymając za ręce dwie córki. Synek został w domu. Przed trumną kroczył ksiądz i ministranci. Były niesione wieńce i feretrony.

W pół wieku później. Chyba w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Alicja Gierzyńska, żona Jaśka Gierzyńskiego, najmłodszego dziecka Józefa i Waclawa Gierzyńskich, na stałe mieszkająca w Radomsku, przyjechała do Warszawy i przy okazji wpadła do zakładu reparaacji kołder. Kiedy podpisała kwit odbioru, młoda ekspedientka jakoś dziwnie na nią popatrzyła i pobiegła na zaplecze. Po chwili wróciła z inną panią, która się przedstawiła. „Ja też jestem Gierzyńska. A pani pewno jest żoną Jasiulka?” Zabrzmiało to jak głos z tamtego świata. Skąd ta kobieta знаła to zdrobnienie? Nikt na Jana Marię Gierzyńskiego tak nie mówił, tylko jego zmarli rodzice. „Ja jestem żoną Wacka Gierzyńskiego – imię ma po ojcu – ciągnęła dalej właścicielka zakładu renowacji kołder – tak, tak pani teść i mój teść

to ta sama osoba. Wiem, że to był wielki pan, ale ja nic od was nie chcę. Przecież wszystko żeście w wojnę stracili. Mój teść (nasz teść) był człowiekiem honoru. Drugiego syna uznał i dał mu swoje nazwisko. Tylko z jego matką się nie ożenił. Może przez pamięć swojej nieboszczki żony?” Życie jest bardziej filmowe niż film.

Magdalena (Lena) z Rakowieckich Roszkowska (1902-1980). Opowiada siostrzenica Ewa Siatkowska przy współudziale siostrzenicy Barbary Mórawskiej oraz na podstawie pamiętnika siostry Bisi Talmontowej i wspomnień wnuków.

Dzieciństwo i młodość. Lena nie była pierwszym dzieckiem Lili i Witolda Rakowieckich. Przed nią urodziło się im trzech synków, ale wszyscy trzej byli wcześniakami i wkrótce po urodzeniu zmarli. Nic więc dziwnego, że rodzice bardzo się z Lenki cieszyli i bardzo ją kochali, zwłaszcza że była ładna i w wielu kierunkach uzdolniona. Ojciec, jak większość ziemian w początkach XX wieku, nie miał własnego majątku, ale dzierżawił najpierw Niekłań Wielki w województwie świętokrzyskim od rodziny Platerów, potem Bałtów od księcia Druckiego-Lubeckiego. Pobyt w Bałtowie należał chyba do najprzyjemniejszych chwil w życiu Lenki i jej dwóch młodszych siostr: Nuli i Bisi. Pałac i park były wspaniałe, a dziecinny pokój cały wyklejony zmywalną tapetą, sprowadzoną z Bretanii. Meble dostosowano do wzrostu dzieci. Do okna zlatywały się gołębie, które karmiła Lenka. Jak siostry podrosły, otrzymały pokój szkolny i specjalną nauczycielkę.

W 1914 roku wybuchła wojna. Rodzina się rozdzieliła. Witold, ponieważ mieszkał w zaborze austriackim, służbowo został oddelegowany do Wiednia, Lila z córkami chroniła się u rodziny: najpierw w Wirowie, potem w Małkini, na plebanii, u wuja księdza Leona Gościckiego, wreszcie w Warszawie u kuzyna Witolda Mariana Rakowieckiego. Tam rodzinę odnalazł ojciec i zabrał do Kielc, gdzie otrzymał posiadłość. Wojna się skończyła. Dwie starsze siostry zaczęły chodzić do szkoły. W kieleckim domu było pełno legionistów, pełno śpiewu legionowych piosenek. Zaczęły się pierwsze młodzieńcze miłości. Lenka stwierdziła, że jest zakochana w Heniu Dobrzańskim, później legendarnym Hubalu. On też ją bardzo lubił. Zdarzyło się, że matka nie chciała zabrać Lenki, jako uczennicy, na operetkę *Cnotliwa Zuzanna*. Henio wstawiał się za nią, a gdy nic nie wskórał, też został i płakali razem dużymi dziecinnymi łzami. Lenka dorastała szybko. Wyglądała na więcej lat, niż miała. Raz rodzice zabrali ją na sylwestra do Resursy. Miał tam miejsce pewien brzemienny w skutki incydent. Kiedy Lenka przechodziła przez salę balową, nagle jakiś przystojny porucznik, któremu w tańcu zaczęły się o siebie ostrogami, upadł przed nią na kolana. Przeprosił i na tym się pozornie skończyło. Kiedy opowiadała ona potem o tym incydencie w domu, nauczycielka francuskiego wykrzyknęła: „to będzie twój mąż. Ta przepowiednia zawsze się sprawdza”. I nie pomogły wyjaśnienia, że młodzian się nawet nie przedstawił. Mademoiselle wiedziała swoje. I miała rację. Ale jak do tego doszło, dowiemy się później.

Nie można walczyć z przeznaczeniem. Jednak przystojny porucznik pojawił się u Rakowieckich. Rodzice dorastającym córkom postanowili urządzić taneczny wieczorek. Chłopców było za mało. Wtedy jedna z pań zgodziła się przyjść ze swoim znajomym, młodym porucznikiem, który przyjechał z wojskiem generała Dowbora z Rosji. Wielka była sensacja, kiedy okazał się on tym samym, który w noc sylwestrową ukłękł przypadkiem

przed Lenką. Ale on nie gustował w podlotkach. Po przetańczeniu kilku grzecznościowych tańców z domowymi panienkami zaczął asystować jednej z dorosłych doskonałych tancerek. Po jej wyjeździe z Kielc, może z nudów, zaczął bywać u Rakowieckich. Okazał się bardzo sympatyczny, mniej oficjalny niż początkowo. Całe dorosłe życie spędził w Rosji, gdzie nabrał śpiewnego akcentu. Czasem wtrącał śmieszne rusycyzmy, np. zamiast „nastawił uszu” – „rozwiesił uszy”. Podobały mu się piwne oczy Lenki i – być może – sprawy by się od razu dalej potoczyły, gdyby znowu nie wybuchła wojna. Porucznik Roszkowski został wezwany do Warszawy, a Lenka długo na pianinie grywała przebój *Oczy czarne*.

Przeprowadzono się również do Warszawy. Porucznik wznowił swoje wizyty. Teraz był lotnikiem, co wymagało dużej odwagi. Polskie samoloty nazywano *latającymi trumnami*, tak częste były katastrofy. Jerzy (z francuska zwany Żorż, bo arystokracja rosyjska na co dzień używała tego języka) Roszkowski też uległ wypadkowi. Samolot rozleciał się w powietrzu, pilotujący go kolega zginął na miejscu, Żorż był tylko lekko ranny. Gdy przyszedł do Rakowieckich na Nowowiejską, był w mundurze, z krzyżem walecznych na piersiach. Potem przeniósł się na Politechnikę, na budowę samolotów. Witold Rakowiecki też został powołany do wojska, a jego dwie starsze córki – Lena i Nula – zostały sanitariuszkami, Lena była bardzo opanowana, asystowała przy poważnych operacjach.

Któregoś dnia Żorż umówił się z Lenką do Łazienek. Długo ich nie było, a kiedy wreszcie Lenka się pojawiła, zaraz zamknęły się z mamą w jej pokoju i długo, długo rozmawiały. W tym czasie posłaniec przyniósł kosz pąsowych róż. W środku był bilet zaadresowany do Lenki. Mama oznajmiła, że najstarsza córka się zaręczyła. Z kim... było wiadomo. Mademoiselle triumfowała.

Lena w roli żony. Opowiada Barbara Mórańska. W kilka lat po ślubie młodzi państwo Roszkowscy wyjechali na Śląsk. Inżynier Roszkowski, absolwent warszawskiej Politechniki, o ile nam wiadomo, zrezygnował z budowy samolotów. Należał do kierownictwa odlewni w Zawierciu, Fabryka była własnością spółki angielsko-francuskiej, ale firma ta wkrótce zbankrutowała. Wtedy wujostwo przenieśli się do Komorowa pod Warszawą, gdzie wybudowali sobie dom. Chyba w 1939 roku sprzedali ten dom i kupili mieszkanie w Warszawie przy Śniadeckich 22. Wujostwo mieli dwoje dzieci: Grzesia i Tereskę. Odwiedzaliśmy ich jeszcze w Zawierciu. Zachwycalam się zabawkami mojego ciotecznego rodzeństwa, zwłaszcza koniem na biegunach Grzesia i gospodarstwem dla lalek Tereski. W czasie wojny, zaraz po zwolnieniu z obozu w Działdowie, znaleźliśmy azyl w ich warszawskim mieszkaniu. Pamiętam, że przy powitaniu wszyscy płakali. Dziwiło mnie to. Dlaczego płaczą? Przecież żyjemy. Po chwili wzruszenia zwyciężył zmysł praktyczny cioci. Kolacja (kluski kładzione z sosem i plasterkami kiełbasy), kąpiel i spać w czystej pościeli. Pamiętam to uczucie odprężenia i bezpieczeństwa.

Ciocia i wuj pozostali w mojej pamięci jako para dwojga pięknych, dobrych i kochających się ludzi. W czasie wojny często spotykaliśmy się albo w ich mieszkaniu na Śniadeckich, albo w Komorowie, gdzie zamieszkaliśmy w willi dziadków Talmontów. Wuj Żorż pracował w jakiejś firmie, a ciocia w kawiarni, której chyba była współwłaścicielką. Kawa była zbożowa, herbata ziołowa, a zamiast cukru sacharyna, ale nie kolidowało to z nastrojem kawiarnianym.

Ciocia Lena w wolnych chwilach wycinała nam z papieru prześliczne laleczki, które przedstawiały bajkowe postacie. Była więc śpiąca królewna i kot w butach i królewna Śnieżka z siedmioma krasnoludkami.

Przełomowym momentem dla wszystkich warszawiaków było Powstanie Warszawskie. Ciocia Lena z mężem i córką, poprzez obóz w Pruszkowie, znalazła się w Zakładach Zbrojeniowych Kruppa nad Renem, a Grzegorz, jako powstaniec, dostał się do niewoli niemieckiej. Z cywilną rodziną wędrował piesek pekińczyk. Wujostwo nic nie wiedzieli o Grzesiu. W końcu otrzymali wiadomość, że zginął w czasie ewakuacji obozu, w którym przebywał. Jakież było ich zdziwienie i radość, gdy okazało się, że wiadomość była fałszywa, a Grzegorz cały i zdrowy odszukał ich na dzień przed wyjazdem do USA, gdzie wybierali się do krewnych od strony Roszkowskich. Przypadkowo udało im się zdobyć status imigranta z puli Finlandii, miejsca urodzenia Żorża. Tu może wypada wyjaśnić, dlaczego Lena i Żorż postanowili wyjechać z Polski. Żorż przeżył rewolucję w Rosji i nie chciał spotkać się z ustrojem komunistycznym. Rodzina więc, już w komplecie, razem z pieskiem, wyjechała z Polski i nigdy nie wróciła.

Życie za oceanem, wspomina Ewa Siatkowska. Za oceanem chyba żyło się dobrze, w każdym razie normalnie. Dzieci ukończyły szkołę. Później Grzegorz poszedł na wyższe studia, a po studiach zapisał się do Armii Amerykańskiej. Może zamiłowanie do wojskowości odziedziczył po ojcu, „poruczniku”? Tak jak ojciec został lotnikiem. Życie Grzesia mogłoby być tematem sensacyjnego filmu, ale nie mogę odstąpić od zasady i pisać tylko o kobietach. Grzegorz ożenił się dość późno, z Polką. Mieli syna Eryka i po tym synu dwie wnuczki. Tak jak moja Mama Ewa Przyłubska, Grzesz zmarł na dzień przed wigilią Bożego Narodzenia, na raka.

Terenia też wyszła za Polaka Wojciecha Narbut Łuczyńskiego. Urodziła czworo dzieci: trzech synów i córkę. Jedynie córka, zmieniając stan cywilny, przejęła obce nazwisko Guyrot, ale ona szczególnie podkreśla, jak bardzo babcia wpłynęła na ukształtowanie się jej osobowości. Więzy rodzinne często są silniejsze niż narodowe. O głębokim przywiązaniu do babci pisze też jej wnuk Paul (Paweł) Łuczyński.

Babcia Lena w oczach wnuków. Opowiadają Nycole Guyrot i Paul Narbut Łuczyński (z angielskiego przełożył prawnuczek Michał Wojdyła). Nycole: „moja babcia Lena była wymarzoną babcią. Ja byłam jej jedyną wnuczką, poza mną miała wnuków. Tak lubiłam u niej nocować – tu czułam się spokojnie i bezpiecznie, uwolniona od moich hałaśliwych braci. Wiele cech po niej odziedziczyłam. Przede wszystkim optymizm. Mówiła mi, że wojna też na coś się przydała, bo gdyby jej nie było, moja mama by nie poznała swojego męża i mnie by nie było na świecie. Pamiętam nasze ostatnie spotkanie. Babcia była bardzo chora, leżała w łóżku, ale kiedy przyszłam, nagle się jej zrobiło lepiej. Jeszcze wyszła na balkon, żeby mi pomachać. A ja miałam jakieś przeczucie, że widzę ją po raz ostatni”. Paul: „babcia była osobą, która miała wielki wpływ na moje wychowanie. Kochałem ją tak bardzo, że jeszcze teraz – 35 lat po tym jak odeszła, czuję głęboki ból po jej stracie. Jako dziecko, zawsze z utęsknieniem czekałem na odwiedzin u babci i dziadka. Babcia zawsze miała jakąś niespodziankę dla mnie, np. wafle w czekoladzie z orzechami. Uczyła mnie rysować,

bo sama pięknie rysowała. Na każde imieniny i urodziny dostawałem od niej obrazek. Dom miała urządzony jak pałac. Kupowała stare, używane rzeczy i własnoręcznie je odświeżała. Szyła pokrowce na meble, zasłony, narzuty, serwety. Była osobą głęboko wierzącą. Moja mama opowiadała, jak dzięki modlitwom babci rodzina została w cudowny sposób ocalona. W czasie działań wojennych (chyba w czasie Powstania?) zawalił się ich dom, ale część sufitu nad ich głowami pozostała nienaruszona. Dowodem jej głębokiej wiary był sposób, w jaki odeszła. Zastaliśmy ją w łóżku, trzymającą w ręku książeczkę do nabożeństwa, otwartą na stronie z ulubioną modlitwą. Na twarzy miała uśmiech”.

Anna (Nula) z Rakowieckich Jacobsonowa (1903-1934). Opowiada siostrzenica Ewa Siatkowska, wstawki wnuczki Anny Wojdyły.

Co Nula przyniosła ze sobą na świat? Nula Jacobson miała skłonność do miłości „aż po grób”. Do niej mogła się odnosić opinia H. Wiśniewskiej o ekstremalnej uczuciowości kobiet. „Kobiety kochają bez miary, nienawidzą bez miary”. Nula zatracala się w miłości nawet do kanarka. Przyrzekła sobie, że sama nic nie zje, dokąd go nie nakarmi. I raz o mało nie zemdląca z głodu, bo do południa nic nie jadła, gdyż nie jadł też kanarek.

Stres wywoływał u niej somatyczne reakcje. Przy płaczu dostawała krwotoków z nosa. Raz zaczęła płakać w czasie wigilii, bo to była smutna wojenna wigilia. Krew z nosa kapała na talerz, aż jej młodzi wujowie, Janek i Tadeusz, zaczęli sobie żartować, że zupa przestała być postna.

Krótkie życie Nuli. Miała bardzo porywczy charakter i zakochała się w człowieku do niej z usposobienia podobnym, Tadeuszu Jacobsonie. Był on najmłodszym w rodzinie, rozpieszczonym jedynakiem. Studiował w Szkole Rolniczej w Czernichowie i potem administrował majątkami ziemskimi, głównie w sandomierskim, Nula wybrała zawód oryginalny – pszczelarstwo. Pobrali się w roku 1930 i zamieszkali w Krukowie – majątku stryja Tadeusza – Stefana Jacobsona. W dwa lata po ślubie urodziły się im bliźnięta – dziewczynka i chłopiec. Opowiadano w rodzinie, że poród był ciężki i długi. Asystujący przy nim lekarz, zadowolony, że wreszcie koniec, poszedł na obiad, ale od razu został znów wezwany do porodu następnego dziecka. Nula nie była przygotowana do wychowywania od razu dwójki dzieci. Podobnie jak było z Walentyną, matka i teściowa mieszkaly daleko. Poza tym, mając w pamięci małżeństwo własnych rodziców, a szczególnie dobrego opiekuńczego ojca, spodziewała się po swoim małżeństwie zbyt wiele. Wymagała od męża bezwzględnej wierności i oddania. Pierwsze przykre doświadczenia (flirty Tadeusza z pokojówką) okazały się dla niej ponad siły. Załamała się nerwowo i fizycznie. Ciężko zachorowała na ostre zapalenie nerek. Lekarze z Sandomierza proponowali dalsze leczenie u specjalistów warszawskich, ale na to Tadeusz nie miał pieniędzy, co dodatkowo rozżaliło Nulę. Organizm zestresowany, a także umęczony podwójną ciążą i wychowywaniem bliźniąt, nie miał sił do przezwyciężenia choroby. Wypaliła się jak świeca. Tadeusz po śmierci żony ożenił się i rozwiódł jeszcze raz. Powiedział do swojej szwagierki Bisi, że zawsze kochał tylko Nulę. Dlaczego ona o tym nie wiedziała? Jest pochowana razem z mężem, w Sandomierzu.

Elżbieta (Bisia) z Rakowieckich Talmontowa (1907-1997). Opowiada córka Barbara Mórawska.

Była najmłodszą z córek Marii i Witolda Rakowieckich. Urodziła się 12 października 1907 roku w należącem do Dziadków Gościckich folwarku Śniary. Żyła lat 90 do grudnia 1997 roku. Przeżyła trzy wojny przetaczające się przez nasz kraj i kilka zmian ustrojowych. Kiedy wybuchła I wojna światowa, nie miała jeszcze siedmiu lat, trzynaste w 1920 roku, trzydzieści dwa w czasie rozpoczynania się II wojny światowej i okupacji. Właściwie w tym okresie pierwszych trzydziestu dwóch lat jej życia zamyka się czas bezpieczny, szczęśliwy: pod opieką troskliwych Rodziców, a następnie Męża. Od jesieni 1939 roku rozpoczyna się czas prawdziwej samodzielności i borykania się z wielkimi trudnościami. W okupacyjne wieczory, już po wysiedleniu z Zalesia, wracała pamięcią do dzieciństwa – opowiadała nam o radosnym życiu w Bałtowie. Spisała te wspomnienia. Cechą główną czasu dzieciństwa i wczesnej młodości była miłość i poczucie bezpieczeństwa. Nawet wydarzenia I wojny światowej tego nie zachwiały, bo była przy niej troskliwa i zaradna Matka. Babcia Rakowiecka dbała o wychowanie i edukację Córek, wpajała swe patriotyczne i religijne przekonania. Dziadek zapewniał dostatni byt materialny. Uwielbienie Matki – Marii (Lili) Rakowieckiej – wypełnia pamiętnik Elżbiety i cechowało ją to uczucie do końca życia. Ojciec – Witold – prawdopodobnie był dla niej wzorem głowy rodziny.

Nie będę tu szczegółowo opisywała dzieciństwa Elżbiety – jest to w książce *Gościccy. Galeria portretów*. Warto tylko podkreślić, że przeżycia siedmioletniej Bisi związane z I wojną światową i pobyt w tym czasie u Dziadka w Wirowie, według mnie, wpłynęły znacząco na kształtowanie jej późniejszej postawy życiowej. Z pamiętnika wnioskuję, że właśnie wtedy kształtują się u mojej Matki poglądy na wiele problemów społecznych i narodowościowych. Wirów to Podlasie – zderzenie narodowości polskiej, białoruskiej i rosyjskiej oraz wyznania katolickiego i prawosławnego. Jest to czas zaboru rosyjskiego i prześladowania unitów (wyznawcy kościoła greko-katolickiego byli prześladowani w Rosji carskiej). Elżbieta słuchała rozmów dorosłych na temat tych prześladowań. Dowiadywała się o pomocy ze strony drugiej Żony Dziadka Gościckiego udzielanej unitom, a zwłaszcza dzieciom. Jednocześnie docierało do niej przeświadczenie, że to wyznanie nie jest godne akceptacji, ponieważ jedynie słusznym jest katolicyzm. Wtedy też zetknęła się ze śmiercią – w Małkini, gdy były u księdza Gościckiego, ciotecznego brata Babci Lili: podczas bombardowania zginęło kilka osób i Mama szczegółowo opisuje to wydarzenie. Wojna i wynikające z niej tragiczne przeżycia wstrząsnęły siedmioletnią Bisią – będąc w gorączce podczas anginy ułożyła wiersz, który zapisała jej Matka. Zdumiewa jego dojrzałość, biorąc pod uwagę wiek autorki.

Tam są domy popalone,
Tam są chaty porąbane,
Tam są wdowy opuszczone
I sieroty zapłakane.

W dorosłym życiu Mama napisała wiele pięknych wierszy.

W 1920 roku kolejna wojna zaburza spokojne życie. Wiąże się z nią udział w walkach i śmierć młodszego Brata Babci Lili – Jana. W pamięci mojej Mamy jest to postać bardzo

ważna i zajmuje wiele miejsca w jej pamiętniku. Pamiętnik Mamy urywa się na roku 1920. Z okresu 1925-1931 mam kilka drobiazgów obrazujących ten czas. U Cioci Ewy Przyłubskiej z Gierzyńskich zachowało się zdjęcie, które podarowała jej Elżbieta – jest na nim piękna osiemnastoletnia dziewczyna. Z listu pisanego 10.08.1928 roku do Ewy wynika, że Elżbieta w tym okresie (miała 21 lat) lubiła liczne towarzystwo, tańce i flirt, natomiast przebywanie na wsi u Rodziców ją nudziło. Również u Ewy Przyłubskiej zachowało się zdjęcie z Zawiercia (nigdy go wcześniej nie widziałam), na którym jest Elżbieta i zapatrzony w nią elegancki pan – Mamy ręką jest napisane „Zawiercie 11-08-1929”. Dopisana jest późniejsza informacja Ewy Siatkowskiej (córka Ewy Przyłubskiej): „Ciocia Bisia z pierwszym narzeczonym...” Zdjęcie jest bardzo ładne, ale Mama nigdy nie wspominała o tym narzeczonym, zawsze były tylko opowieści o naszym Ojcu. Prawdopodobnie w 1930 roku Elżbieta poznała w Warszawie Czesława Talmonta – inżyniera, specjalistę budowy młynów i młynarza. Ślub moich Rodziców odbył się 31.10.1931 roku w Warszawie. Zamieszkali w Komorowie koło Pruszkowa. Ojciec pracował w Warszawie w firmie specjalizującej się w budowie i remontach młynów.

Z Komorowem związani byli Talmontowie i Rakowieccy. Osiedle willowe „Miasto – Ogród Komorów” powstało obok majątku i wsi Komorów, ponieważ Bank Rolny w Warszawie z jakiegoś powodu sprzedawał grunty majątku Komorów na działki budowlane. W banku tym pracował Tadeusz Zdziechowski spokrewniony z Rakowieckimi – kupił dwie działki, na których wybudował piękny dom. Pewnie za jego przykładem kupił działkę Wuj Jerzy Roszkowski – mąż Cioci Leny Roszkowskiej z Rakowieckich. Brat mojego Ojca – Władysław Talmont pracował w spółce angielskiej, która budowała i eksploatowała Elektryczną Kolejkę Dojazdową, tzw. EKD, jadącą z Warszawy do Grodziska Mazowieckiego i Milanówka właśnie przez wieś Komorów. Zachwycony lesistym Komorowem kupił dwie działki i wybudował dom, a Rodzice jego (moi Dziadkowie Talmontowie) również kupili działkę. Domy Dziadków Talmontów i Wujostwa Roszkowskich wybudowane były dość dawno, bo pamiętam je z bardzo wczesnego dzieciństwa. Przed moim urodzeniem Rodzice zamieszkali w willi Roszkowskich, którzy wtedy byli jeszcze w Zawierciu. Urodziłam się 20.09.1933 roku, a więc dom musiał być wybudowany wcześniej. Do tego domu w lutym 1936 roku wróciła z kliniki Mama z nowo narodzoną Marią Kazimierą – moją młodszą Siostrą. W tym czasie Dziadkowie Talmontowie, Kazimiera i Stanisław, mieszkali w swej willi przy ulicy Nadarzyńskiej.

Po urodzeniu mnie Mama długo chorowała i nie miała pokarmu, więc Babcia Rakowiecka wykarmiła mnie butelką. Pod koniec 1935 roku Babcia Rakowiecka wyjechała do Zawiercia, gdzie u Wujostwa Roszkowskich mieszkał Dziadek Witold i chyba w tym czasie już zaczął chorować. W lipcu 1936 roku Witold Rakowiecki zmarł i został pochowany w Zawierciu.

Przy narodzinach drugiej Córki Mama już była samodzielna. Wspominała, że sama pojechała do kliniki do Warszawy, czując nadchodzący czas – Ojciec akurat gdzieś w Polsce nadzorował jakiś remont lub budowę młyna. W trakcie swych zawodowych podróży po kraju Tata trafił do Zalesia w powiecie plockim – remontował młyn. Był tam folwark, resztówka niegdyś dużego majątku, okazały dwór, piękny park, 44 hektary ziemi i ten młyn. Właściciel, adwokat z Warszawy, chciał tę posiadłość wydzierżawić, bo nie znał się na

gospodarstwie rolnym ani młynarstwie. Mama zawsze tęskniła do wiejskiego dworu, więc Tata zdecydował się na dzierżawę – podpisał umowę na 12 lat: 1937-1949, z możliwością przedłużenia lub nawet wykupienia na własność. Zalesie stało się naszym gniazdem na wiele lat. Tu w 1938 roku w lipcu urodziła się Małgosia – trzecia Córka Elżbiety i Czesława Talmontów. Mama była w tym czasie szczęśliwa, ale przyszedł wrzesień 1939 roku i Ojciec poszedł na wojnę. O swych ciężkich przeżyciach jesienią 1939 roku napisała wspomnienia – nie wiem, kiedy to zrobiła, ale mają one charakter „epitafium” jej szczęścia i małżeństwa. Ukazuje w nich, jak bardzo czuła się bezradna wobec sytuacji zagrożenia, jak się bała, że będzie musiała sama pokonać nieznanne jeszcze trudności. Wierzyła, że nieobecność Męża będzie krótka, ale w tym czasie musi samodzielnie prowadzić gospodarstwo i doglądać młyna. Píše: „31 sierpnia 1939 roku odwiozłam mego Cześka do Płocka” – musiał zgłosić się do wojska – mobilizacja. 1, 2 września ponure wieści z radia i plotek, Mama pisze: „docierają wiadomości, że Niemcy od Prus Wschodnich zbliżają się do Sierpca. Na szosie za naszym parkiem tłum uciekinierów, obłąkany paniką tumult wzmaga się do maksimum. Co robić?...”. Pytanie dotyczyło przede wszystkim, czy też uciekać. Wiem, że już w połowie sierpnia były ustalenia – w razie konieczności Mama z nami i Babcią Rakowiecką schroni się u Kuzynów, którzy mieli majątek za Wisłą koło Gostynina. „Przecież tam Niemcy nie dojdą ani od Prus, ani od zachodu”. Teraz trzeba było decydować i chyba po raz pierwszy w życiu Bisia-Elżbieta musiała samodzielnie podjąć decyzję i odpowiedzialność za tych, którymi się opiekowała. Kiedy zastanawiam się nad jej trudnym i raczej niezbyt radosnym życiem, do którego nie była przygotowana, podziwiam ją, że jednak podołała. Następane miesiące i lata przyniosły Mamie jeszcze trudniejsze zadania. Wtedy uciekliśmy za Wisłę dopiero wieczorem 3 września. Było to zbędne, bo przecież wojna dotarła i tam, a powrót był bardzo trudny.

Ojciec wrócił w połowie października. Był na wschodzie, dostał się do sowieckiej niewoli, z której uciekł. W Wilnie pomogła mu Rodzina Talmontów i wreszcie dotarł do domu, ale nie na długo. W połowie listopada został aresztowany i wywieziony do obozu w Działdowie. Mamie udało się wyprosić przepustkę na widzenie z Mężem. Pamiętam, jak opowiadała Babci Rakowieckiej o trudnej, nieprzyjemnej podróży do Działdowa i krótkim widzeniu. Udało się jej nawet dwukrotnie spotkać z Czesławem. Przy pożegnaniu nadzorujący ich oficer niemiecki powiedział, że jest prawdopodobieństwo zwolnienia Ojca za parę dni – umówili się, że jak Tato będzie jechał pociągiem do Płocka w pobliżu naszego domu w Zalesiu, to wyjrzy oknem i pomacha ręką, żeby Mama wysłała stangreta bryczką na płocki dworzec kolejowy. Mama przez wiele dni wychodziła w pole do wszystkich pociągów, oczywiście bez rezultatu. W początkach grudnia przyszedł pierwszy list na obozowym blankiecie z ołlagu Gross-Born. Nie wiedziałyśmy wtedy, że to Borne Sulinowo na Pomorzu Zachodnim, obecnie w granicach Polski – tzw. Ziemie Odzyskane.

Mamy wspomnienia z jesieni 1939 roku kończą się relacją z podróży do Działdowa i dwukrotnego spotkania z Ojcem. Chyba dużo później innym piórem dopisała: „uświadomiłam sobie, że to pożegnanie nasze było ostateczne i że to był dzień 19 listopada – dzień moich imienin”.

Dalsze życie mojej Matki było bardzo trudne i smutne i przez wiele lat przepelnione tęsknotą za Cześćkiem. 31 sierpnia 1939 roku przyrzekła Czesławowi żartobliwie czekać na niego i 10 lat, a czekała 20 do jego śmierci na obczyźnie w 1959 roku.

Do jesieni 1940 roku Mama sama prowadziła gospodarstwo i młyn. Chyba na początku września osadzono w Zalesiu niemieckiego administratora, który zamieszkał w naszym domu z żoną i dwojgiem dzieci, zostawiając trzy pokoje dla nas.

W marcu 1941 roku zostałyśmy wysiedlone i wywiezione do obozu przejściowego w Działdowie, tego samego, w którym w listopadzie 1939 roku był nasz Ojciec. Po przewiezieniu do Generalnej Guberni i wypuszczeniu na wolność jakiś czas byłyśmy w Warszawie u Wujostwa Roszkowskich, a następnie w Komorowie u Dziadków Talmontów. Babcia Rakowiecka została w Warszawie u swojej starszej Córki Leny. W Komorowie, zachęcana przez Babcię Kazimierę Talmontową, Mama zajęła się dostarczaniem kwiatów z komorowskich ogrodów do kwaciarni w Warszawie i wkrótce miała stałą klientelę. Była to ciężka praca fizyczna. Poza tą ciężką pracą Mama wiele czasu poświęcała nam. Dużo czytała książek na głos: *W pustyni i w puszczy*, *Anię z Zielonego Wzgórza* i różne inne. Opowiadała o swym dzieciństwie i młodości lub o tym, jak będzie pięknie, kiedy polskie wojsko wyzwoli kraj. Uczyla nas słów hymnu narodowego i szacunku dla flagi biało-czerwonej. Wiedziałyśmy, że nie wolno głośno śpiewać hymnu, ale po cichutku umiałyśmy, oczywiście stojąc na baczność.

Dużą radością dla Mamy były spotkania w domu Wujostwa Zdziechowskich. Ciocia Cecylia Zdziechowska, po swej matce Julii z Rakowieckich, była dla mojej Mamy cioteczną siostrą, ale o wiele starszą, więc Mama zawsze nazywała ją Ciocią, a przyjaźniła się z jej trzema Córkami, zwłaszcza Marysienką Kaczurbiną. Lubiliśmy tam chodzić – był to gwarny, wesoły dom.

Charakterystyczną cechą Mamy był optymizm i pogodne podchodzenie do trudności okupacyjnych. Uczyla nas też „gry w zadowolenie”, w której podstawą było zadowolenie, że mogłoby być jeszcze gorzej, a nie jest, np. kiedy odmroziłam sobie dłonie i płakałam z bólu, mówiła: „Ciesz się, że tylko ręce, bo mogły być też nogi”. Starala się wpoić w nas umiejętność oceniania swego postępowania – czy jest dobre, czy złe. W tym celu założyła każdej z nas zeszyt zwany „kwietnikiem” – wieczorem po rozmowie i samoocenie czynów całego dnia za dobre uczynki rysowała nam kwiatki (a rysowała bardzo ładnie), np. za pamiętanie o obowiązkach niezapominając, za troskliwość wobec Siostry bratek. Za złe czyny była pokrzywa.

Wiosną 1943 roku zaprosiła nas do siebie Kuzynka Dziadka Witolda Rakowieckiego (rodzina Rakowieckich była bardzo liczna) Eugenia Domańska, która miała duży majątek w opoczyńskim: Prymusowa Wola. Ciotka Domańska pomagała wielu krewnym i obcym w okresie okupacji, dom jej był też azylem dla młodych AK-owców. Jedyna jej Córka – Maja – zginęła w Oświęcimiu – aresztowano ją, gdy nie zastano w domu jej Męża, członka AK. W Prymusowej Woli byłyśmy do końca okupacji – Mama pracowała jako ogrodnik, a zimą nauczyła się tkąć samodziały.

W sierpniu 1944 roku dotarły wieści o Powstaniu Warszawskim – niepokój o Ciocię Lenę, jej Męża i dzieci oraz Babcię Rakowiecką. We wrześniu zaczęli docierać warszawiacy

i opowiadali straszne rzeczy o zagładzie miasta. W listopadzie przyszedł list od Grzesia (syna Cioci Leny) ze stalagu w Niemczech, gdzie znalazł się jako powstańczy żołnierz. Później była wiadomość od Wujostwa Roszkowskich, że są wraz z Córką Teresą w niemieckim obozie pracy w Zakładach Kruppa nad Renem. Wreszcie wiadomość, że Babcia Rakowiecka jest w Łowiczu w Domu Starców ewakuowanym z Warszawy.

Już po przejściu frontu (ofensywa styczeniowa 1945 roku) na początku lutego Mama otrzymała wiadomość od kierowniczkii Domu Starców w Łowiczu, że Babcia zmarła 18 grudnia 1944 roku. Pierwszy raz od jesieni 1939 roku zdarzyło się coś takiego – w Mamie coś pękło. Trzy dni leżała, płacząc. Nie podnosiła się, nie jadła, po raz pierwszy, odkąd pamiętam, nie interesowała się, co my robimy. Byłam przerażona.

Po przejściu frontu, już w lutym, zaczęto w powiecie opoczyńskim realizować postanowienia reformy rolnej, więc Ciotka Domańska musiała wraz z Rodziną opuścić majątek. My jeszcze parę tygodni zostałyśmy i po załatwieniu możliwości transportu pojechaliśmy ciężarówką wynajętą do spółki z inną rodziną w okolice Warszawy i do Komorowa.

Podczas naszej nieobecności Dziadek Talmont coraz bardziej chorował na serce. Dziadkowie musieli sprzedać swój dom i przenieść się do willi Stryja Władysława. Stryjostwo jeszcze w 1939 roku zdołali wyjechać do Stanów Zjednoczonych do rodziny Stryjenki – Dziadkowie utrzymywali te dwa domy, więc swój sprzedali. Zamieszkałyśmy u Dziadków, czekając ostatecznego końca wojny i powrotu Taty z obozu. Pisywał do nas przez te długie lata, ale od stycznia 1945 roku nie było żadnych wiadomości.

Nocą z 8 na 9 maja nad Warszawą widać było iluminację – wyglądało, jakby był nalot, a to świętowano koniec wojny. Wkrótce Mama otrzymała od znajomych z Płocka wiadomość, że młyn i dom w Zalesiu są całe. Po naradzie z Dziadkami Mama postanowiła wracać, żeby wszystko zabezpieczyć i przygotować na powrót Czesława, to będzie miał gdzie pracować. Dziadek był już bardzo chory i nie mógł z nami jechać, a Babcia nie chciała zostawić go samego, więc namówili swojego znajomego, by pomógł Mamie w podróży oraz zorientował się, jaka jest sytuacja w Zalesiu. Załadowano nasz niewielki dobytek na wynajętą furmankę i pojechaliśmy do Pruszkowa na dworzec kolejowy. Wtedy przy furtce domu ostatni raz widziałyśmy Dziadka – zmarł za parę dni.

Podróżowanie w tamtym czasie było niewyobrażalnie trudne, ale po dwóch dniach dotarliśmy do Płocka (dziś z Warszawy jedzie się 2 godziny). Zatrzymaliśmy się u znajomych, gdzie było mycie i odpoczywanie, ale Mama krótko odpoczywała. Powędrowała pieszo (10 km) do Zalesia z tym panem, który zobowiązał się wobec Dziadka pomóc we wszystkim.

Zaczął się trudny czas urządzania naszego życia na nowo. Folwark nie podlegał parcelacji (44 hektary), dzierżawa nadal obowiązywała. Dom był zajęty na użytek szkoły. Początkowo oddano nam jeden maleńki pokój. Później Mama odzyskała połowę domu, a w drugiej nadal była szkoła. Sądzę, że był to bardzo trudny okres w życiu Elżbiety. Bardzo dzielnie podjęła ten trud ożywiona nadzieją na rychły powrót ukochanego Czesława. W gospodarstwie były tylko budynki, żadnego inwentarza ani sprzętów, z domu część mebli wywieźli Niemcy, część rozkradziono. Mama uzyskała niewielkie odszkodowanie w związku ze stratami wojennymi. Uruchoimiła młyn, kupiła konie i krowy, odnajdywała część mebli, zatrudniła

ludzi. Na pewno nie było już bezradnej, przerażonej Bisi – Elżbieta podejmowała bardzo trudne działania i była skuteczna.

Okres 1946-1947 to był czas oczekiwania na Czesława. Różni wracali, czasem przywozili wieści od Ojca, czasem jakieś drobne podarki, np. słodycze amerykańskie. Kiedyś usłyszałam rozmowę Mamy z Ciotką Taty Stanisławą, która lubiła bywać w Zalesiu – Elżbieta żaliła się, że Czesław zaproponował jej, aby zostawiła nas pod czyjąś opieką, a osoba doręczająca list przeprowadzi ją na zachód do strefy amerykańskiej, kiedy będzie to możliwe, wróć po nas. Mama była oburzona i rozżalona.

Ciężkim przeżyciem dla Mamy i dla nas było aresztowanie jej przez UB latem 1946 roku. Wróciła po kilku dniach pieszo z Płocka. Opowiadała Cioci Stasi, że poza długimi, nocnymi przesłuchaniami nie krzywdzili jej, ale sam fakt aresztowania był wystarczającą krzywdą.

Stopniowo Mama chyba traciła wiarę w powrót Ojca i w to, że będzie on potrzebował Zalesia jako swego warsztatu pracy.

Panujący system różnymi metodami utrudniał prowadzenie tak dużego gospodarstwa oraz prywatnego młyna. Jesienią 1947 roku Elżbieta zerwała umowę dzierżawną (obowiązywała do 1949 roku). Gospodarstwo, z takim trudem uruchomione, zostało zlikwidowane i Elżbieta za uzyskane stąd fundusze oraz przy pomocy finansowej Babci Kazimieri Talmont kupiła w Płocku sklep przy Placu Narutowicza wraz z niewielkim mieszkaniem. Elżbieta nigdy nie lubiła matematyki, tzw. rachunków, a od 1939 roku (od 32 roku życia) musiała się nimi zajmować, aż do przejścia na emeryturę w 1969 roku – 60 lat skończyła w 1967 roku, ale brakowało jej jeszcze 2 lat do pełnej emerytury. Miała duże zdolności artystyczne – literacko pisane pamiętniki, wiele ciekawych wierszy, pięknie rysowała. Jeszcze jedna przeprowadzka Elżbiety – w 1956 roku przenosi się z Płocka do Komorowa: wraz z Rysią i Małgosią zamieszkała w domu Władysława Talmonta. Jest też tam Babcia Kazimiera Talmont.

Sądzę, że dla mojej Matki trudną sprawą było moje wczesne usamodzielnienie się, które miało wiele przyczyn i tu nie miejsce do ich analizowania. Po maturze i krótkim kursie pedagogicznym, mając 18 lat, podjęłam w 1951 roku pracę nauczycielki wiejskiej. Z tym wiąże się moje stopniowe, zapoczątkowane około dwóch lat wcześniej, odchodzenie od religii. Dla Mamy było to niezrozumiałe, ponieważ podstawą jej życia była wiara, nie wyobrażała sobie życia bez niej. Na pewno przekonanie o opiece Boga oraz Matki Boskiej pomogło jej przeżyć trudy i koszmary życia, jakie pokonywała. Moje zamążpójście bez sakramentu, tylko z cywilnym ślubem było nie do zaakceptowania i długo nie uznawała mnie za mężatkę. Jednakże, kiedy zorientowała się, że będę matką, godnie przyjęła rolę babci – pełniła ją z wielkim oddaniem. Z czasem przekonała się również do mojego Męża, który zawsze ją bardzo szanował.

Elżbieta, mając 87 lat, zachorowała na zapalenie płuc, z którego została wyleczona, ale nie wróciła już do poprzedniej kondycji fizycznej i umysłowej. Z trudem chodziła i gwałtownie traciła pamięć. Ostra demencja doprowadziła do tego, że nas często nie poznawała. Ja bywałam przy niej dorywczo. Stale była Małgosia. Rysia w tym czasie mieszkała w Australii, ale też czasem przyjeżdżała. W ostatnim okresie Mamy życia moja najstarsza Córka – Elżbieta – zamieszkała ze swym Mężem w Komorowie i wspomagała Małgosię w opiece nad Babcją.

Pamiętam ostatnie spotkanie z Matką – byliśmy z Mężem na grobach jego bliskich w Płocku, a potem w Pruszkowie na grobie Dziadków Talmontów. Nocowaliśmy w Komorowie i wieczorem weszłam do Mamy powiedzieć „dobranoc” i pożegnać się, bo mieliśmy następnego dnia rano wyjechać. Popatrzyła na mnie przytomnie i powiedziała sensownie (co jej się już wtedy rzadko zdarzało) – „Jedziesz, trudno. Będę tęskniła”. Potraktowałam to jako szablonowe powiedzenie, ale po zastanowieniu pomyślałam – przecież Matki życie od lat było tęsknotą: początkowo za Mężem, potem za własną Matką, za Siostrą Leną i jej Rodziną, która została na emigracji, za nami też. Jedynie Małgosia zawsze z nią była. Mama zmarła 17 grudnia 1997 roku – odeszła wraz ze swoimi tęsknotami.

Kobiety z rodu Gierzyńskich

Ewa (Esia) z Gierzyńskich Przyłubska (1907-2001). Opowiada córka Ewa Siatkowska. Czy nad kolebką mojej Mamy stały dobre wróżki? Czy była szczęśliwa? Z pewnością było to życie spełnione. Nieraz pełne bólu, ale zawsze proste i jasne. Ostatnimi słowami, które powiedziała na tym świecie, było „kocham Was”. Zmarła na dzień przed wigilią Bożego Narodzenia i przed swoimi imieninami. Myślała o świętach. Chciała dać wszystkim członkom naszej rodziny broszki z napisem „Miłość”. Nigdy sobie nie daruję, że – z przyczyn technicznych – nie spełniłam tego życzenia Mamusi.

Dzieciństwo. Esia (tak sama przekreśliła swoje imię Ewa) urodziła się w Szwejkach, które jej ojciec dzierżawił od Czartoryskich. Mam, pisaną rosyjską cyrylicą, jej metrykę chrztu. Kiedy miała 9 dni, matka w czasie karmienia córeczki dostała epilepsji, którą wzięto za zemdlenie i została odwieziona do szpitala. Dziecko wykarmiła mamka ze wsi. Była chorowita. Zimą nie wychodziła na dwór. Pytała swoją mamę: kiedy ja wyjdę? i otrzymywała odpowiedź: Jak Burek język wywiesi, tzn. jak będzie ciepło. Burek to był pies myśliwski z pięknym rudym ogonem. Podobno jego ojcem był prawdziwy lis, z lasu. Kiedy Esia miała trzy lata, urodziła się jej siostrzyczka, przez rodzinę nazwana Wisienką (Jadwisia – Wisia – Wisienka), było więc się z kim bawić.

Pierwsza wojna światowa. Sielskie dzieciństwo przerwała wojna. Gierzyńscy uciekli do Wirowa, potem do Siedlec, gdzie byli już Niemcy. W drodze powrotnej o mało nie doszło do tragedii. Przy przeprawie promem przez Bug karetka zaczęła się staczać do wody. Zatrzymała się na samym brzegu promu. Przez Liwiec już przejechano wplaw. Szwejki były tak bardzo zmienione. Cały dom był pełen niemieckich żołnierzy. Dwór zamieniono na szpital. Ranni przeważnie umierali i byli chowani w ogrodzie. Jeszcze długo po wojnie Esia i Wiśnia dbały o ich groby. W 1920 roku nowe nieszczęście – wojna z bolszewikami. Znow trzeba było uciekać. Czytam pamiętnik mojej Mamy: „Mamusia, z nami dwiema i trzymiesięcznym Jaśkiem (urodził się 5 maja 1920 roku) jechała karetą, a Tatuś konno. Po powrocie znow żałobne wieści: Mamusia straciła obydwu braci: Janka i Tadzia. A jak wybuchła wojna, tak się cieszyli na Wielką Przygodę!”. Pamiętnik zawiera też opisy dobrych chwil, np. taki obrazek: „wracałam z fartuszkami pełnymi zielska dla królików. Okna w salonie były otwarte, wiatr wzdymał firankę. [...] Kiedy zaczęłam się zbliżać do domu, usłyszałam etiudę Chopina.

[...] Grała moja nauczycielka, która na Wołyniu straciła majątek, męża i córeczkę. Grała z wielkim uczuciem. Pewno wspominała chwile przeżytego szczęścia”.

Trzeba było jednak wyruszyć z domu w inny świat – do Warszawy, na pensję. W świecie tym nie było przytulnego drewnianego dworku, słonecznego ogrodu, psów, kotów, królików, spacerów po polach, konnych przejażdżek w sąsiedztwo. Był surowy gmach na Pięknej, rygor i dyscyplina, walka o dobrą cenzurkę, a na co dzień – szkolny mundurek. Esia i Wiśnia miały oparcie w Rakowieckich, którzy mieszkali na Nowowiejskiej 32, blisko szkoły. Dom był pełen młodzieży. Tu Esia poznała swojego męża Felutka Przyłubskiego – jedyną miłość swego życia. Ona była siostrzenicą pani domu, a on siostrzeńcem pana domu. A z ich poznanem było tak: Felutek zadzwonił. Esia poderwała się otworzyć (zawsze działała szybko). W progu, jak potem opowiadała, stał jakiś chłopaczyna w czapce z politechniki. Czy zastałem wujostwa? – spytał. Tak, ale jakich wujostwa? Moich, tak? Nie, moich wujostwa. – Oj, coś pan kręci. Nie możemy mieć tych samych wujostwa. I Esia już miała ochotę zamknąć drzwi, kiedy pojawił się wuj Witold Rakowiecki i powitał siostrzeńca. Od tej pory Felutek poczuł gorący przyływ uczuć do wuja Witolda. Odwiedzał go nawet wtedy, kiedy go nie było w domu, a 26 listopada 1929 roku odbył się w kościele Zbawiciela ślub panny Ewy Gierzyńskiej i pana Feliksa Przyłubskiego. Wesele było w salach recepcyjnych hotelu Polonia.

Radomsko. Następny etap w życiu moich Rodziców to było Radomsko. Dla Mamy musiało stanowić degradację, ale przeżyła ją pogodnie. Tata dostał pracę polonisty w szkole swojego dziadka Feliksa Fabianiego. Pensja nie była wielka. Mama notuje: „Ewuni nic nowego nie kupowaliśmy. Robiłam jej na drutach sweterki, płaszczyk miała przerobiony z mojego płaszcza. Sprzedawałam wyhodowane z cebulek tulipany. Gotowałam obiady dla nauczycieli ze szkoły. Przykre było to, że tzw. ciociułka, która wychowała mojego Tatę po śmierci jego matki, zawsze uważała, że Gierzyńscy to bogate snoby, a ludźmi pracy są Fabianiowie. Dziadziś Waclaw Gierzyński był bardzo dobrym gospodarzem i hojnie wyposażył swoje dzieci. Za jego pieniądze moi Rodzice wybudowali sobie w Radomsku willę i nie musieliśmy już mieszkać z ciociułką. Ciocia Wiśnia kupiła mająteczek Jabłeczniaki, a Jasiek dostał w Radomsku dom. Ten dom składał się z kilku mieszkań, wynajmowanych, a Jasiek był na utrzymaniu moich Rodziców”.

Znowu wojna. Życie się ustabilizowało, ale stan ten nie trwał długo. Wybuchła druga wojna światowa, Tatusz poszedł na wojnę. Lata 1939-1946 to były złe lata. Mamie zaważył się świat. Nie miała żadnego zawodu, nie miała nawet matury, bo po śmierci Babci Ziutki dziadek odebrał ją ze szkoły, żeby prowadziła dom w Szwejkach. A miała dopiero 19 lat. Teraz też została sama z dwojgiem dzieci, a na dodatek ciociułką i jej dwoma wychowanekami na karku. Sprowadzili się do nas, żeby „się przytulić”. Mamę cechowała jednak zaradność, być może odziedziczona po ojcu. Dostała jako żona oficera jakiś śmiesznie mały żołd od Niemców, zagwarantowany konwencją międzynarodową. Dostawała chesne od wynajmujących część naszego domu wysiedlonych z rzeszy poznaniaków. Wyrabiała i sprzedawała mleczne cukierki, spieniężyła wszystkie garnitury ojca, bieliznę pościelową, obrusy, wszystko, co się dało. Była jeszcze betoniarnia, zakupiona przed wojną z części spadku po Feliksie Fabianim. Wyrabiała rury kanalizacyjne, nagrobki. Jak Mama nad tym wszystkim panowała? Sytuacja

stała się wręcz tragiczna w 1944 roku, po Powstaniu Warszawskim, kiedy do naszego domu zjechali się krewni Fabianich z Warszawy oraz osoby zupełnie nam nieznanne, które nie miały, co ze sobą zrobić. Mamusia modliła się do św. Jacka i jakimś cudem było, co jeść.

Po wojnie. W naszym życiu znów otworzył się nowy rozdział. Tatuś wrócił z wojny, ale posady w szkole Feliksa Fabianiego nie dostał. Dyrektor go nie cierpiał jeszcze z dawnych lat. Ojciec w każdej sytuacji konfliktowej stawał po stronie uczniów. Bardzo głośny był zatarg z najstarszym Różewiczem, później poległym na wojnie, bratem Tadeusza. Tu dygresja, w 1939 roku jeden z dawnych uczniów namawiał Tatę na wyjazd do Rumunii, ale mój Ojciec odmówił, bo nie chciał zostawić swoich żołnierzy. Za swoją postawę przyszło mu zapłacić jeszcze po wojnie. Kiedy został bez pracy, wpadł na pomysł, żeby założyć swoją szkołę. I przy pomocy znajomego inżyniera stworzył szkołę przy fabryce „Metalurgia”, gdzie kształciła się inteligencja techniczna. Niestety wciąż był szykanowany, musiał sprzedać dom i opuścić swoje gniazdo rodzinne. Przeniósł się do Warszawy. Żona go wspierała na każdym etapie życia. Razem rozpoczęli wydawać „Elementarz”, który przez pewien czas stał się obowiązkowym podręcznikiem w całej Polsce. Mama nie opuściła Ojca nigdy, aż do śmierci w 1981 roku. Mąż jej i matka zmarli na tę samą chorobę – uremię, która tak samo podstępnie rozwijała się latami. W wypadku Taty to był skutek morderczego marszu z Gross Born na Pomorzu do Sandbostel w północnych Niemczech.

Po śmierci męża Mama się nie załamała. Żyła życiem swoich dzieci i wnuków. Największym ciosem była dla niej nagła śmierć ukochanego syna Marcina, ale i to zniosła. Ostatnie trzy lata była unieruchomiona w łóżku, po złamaniu stawu biodrowego. Ale nadal prowadziła życie towarzyskie, pisywała listy, telefonowała. Nawet dbała o powierzchowność i korzystała z usług fryzjerki, która czesała ją w domu. Po jej śmierci 23 grudnia przychodziło masę życzeń świątecznych i imieninowych na kolorowych kartach. Ale pani Ewa Przyłubska spędzała święta pod innym adresem.

Jadwiga Gierzyńska (Wiśnia). Opowiada siostrzenica i chrzestna córka Ewa Siatkowska. *Dziecko Mazowsza.* Wiśnia urodziła się w Szwejkach. W Jabłecznikach była młoda, szczęśliwa. Kiedy się wypełniły jej dni, została pochowana w Łęgu Kościelnym, parafia Mogielnica (dawny majątek rodziny Gierzyńskich), choć umarła w Warszawie. Była dzieckiem mazowieckich lasów i pól.

Dzieciństwo ciocia spędziła w Szwejkach. Pokrywa się ono z dzieciństwem mojej mamy. Bardzo się kochały, choć nie zawsze żyły w zgodzie (jak to w rodzinie). Mama cioci zazdrościła, że jako młodsza dostaje na obiad kotlet cielęcy, a ciocia mamie (już później), że ma chłopca, a ona nie. Tym chłopcem był mój tata, który został zaproszony do Szwejk jako korepetytor Wiśni, więc ciocia uważała, że się jej należy. Potem razem pojechały do Warszawy na renomowaną pensję panny Plater. Na każde wakacje wracały do Szwejk. Kiedy Wiśnia miała lat 18, zachorowała. Lekarze stwierdzili początki gruźlicy. Ojciec natychmiast ją wysłał do Zakopanego, później była w Krynicy, gdzie odwiedzała ją Esia. W Krynicy obydwie siostry bawiły się świetnie. Były ładne, wesołe i posażne, miały więc wielu adoratorów. Esia była jasną blondynką, z zadartym noskiem i podobno o bardzo pięknych nogach, Wiśnia była ciemną blondynką, z zielonymi oczami. Mówiła trochę przez nos, co uchodziło za

bardzo pociągające. Nic dziwnego, że miały wielu adoratorów. Z jednym Wiśnia się nawet zaręczyła, ale amant wziął pierścionek z brylantem, a w zamian dał jarmarczny „złoty pierścionek z niebieskim oczkiem na szczęście” i... ulotnił się. Najważniejsze było, że się wyleczyła z gruźlicy.

Obydwie siostry zostały odebrane z pensji, tak że nie miały nawet matury, ale musiały, po śmierci matki, zająć się prowadzeniem domu i wychowywaniem brata. Esia wyszła za mąż i wyjechała do Radomska, Wiśnia – po śmierci ojca – za sumę, która jej przypadła, kupiła niewielki majątek Jabłeczники (właściwie była to wieczysta dzierżawa). Bez żadnych studiów rolniczych prowadziła majątek w trudnym okresie wojny, aż do roku 1945, kiedy został upaństwowiony. Wtedy Wiśnia meble po rodzicach dała na przechowanie zaprzyjaźnionym sąsiadom ze wsi i przyjechała do siostry do Radomska.

Świat się Wiśni zawalił. Wyglądała jak po ciężkiej chorobie: mizerna, wychudzona, pomarszczona, postarzała, a miała dopiero 35 lat. Całe dni spędzała na leżaku w ogrodzie z zamkniętymi oczami, ale nie spała. Teraz, bardziej niż wtedy, rozumiem jej tragedię. Straciła wszystko: ukochane Jabłeczniki, razem z odziedziczoną jeszcze ze Szwejk gosposią Jagusią, zastępującą jej matkę, razem z ogrodem, stawem, po którym pływało się łódką, kotami, psami, przede wszystkim wielkim dogiem Simbą. Wreszcie straciła również „mężczyznę swojego życia” – pierwszą i ostatnią miłość (flirty z Krynicy nie wchodziły w rachubę). Był to właściciel sąsiedniego majątku, mężczyzna wielkiej urody: postawny, o śniadej cerze i szlachetnych rysach rzymskiego patrycjusza. Romans trwał długo i przerwał się dla cioci Wiśni niespodziewanie. „Mężczyzna jej życia” ożenił się z inną. Podobno „musiał”.

Wiśnia odbudowuje swój świat. Wszystkie kobiety w naszej rodzinie jednak są odporne, Wisienka wygrzebała się z psychicznego dołka. Poszła do pracy. Najpierw sprzedawała w Radomsku w sklepie buty, potem wyjechała na Ziemię Odzyskane i podjęła pracę w pałacu poniemieckim w Pszennie, w stołowce Zjednoczenia Przemysłu Cukrowniczego. Odwiedzałam ją tam. Kiedyś, kiedy pomagałam nakrywać do stołu, zjawił się miejscowy dostojnik i spytał: a, nowa pomoc kuchenna? Jak ciocia była traktowana, nie wiem. Nikt nie przypuszczał, że niedawno była „panią dziedziczką”. W Pszennie ciocia Wiśnia pracowała krótko. Następnym etapem jej długoletniej pracy była Świdnica. Zadbła o to, by być już „siłą wykwalifikowaną”. Najbliższa jej była księgowość, z którą zapoznała się w Jabłecznikach, a że była z natury inteligentna, na kursie księgowości egzamin końcowy zdała z wynikiem bardzo dobrym. Skończyła drugi kurs dla planistów finansistów, co jej później w życiu pomogło. Nigdy, nawet w chwilach depresji, nie była zamknięta na ludzi i bieżące wydarzenia. Porównując ją z innymi kobietami z naszej rodziny, widzimy, że najbliższej jej było do Honoraty Piwkowskiej – była systematyczna, zorganizowana i głęboko religijna, ale jej typ religijności był, można tak powiedzieć, „społeczny” – Boga widziała w człowieku. Z kolei, tak jak matka, leczyła ludzi i leczyła się sama.

Byłam z nią bardzo zżyta. Często jej się zwierzałam ze swoich kłopotów, nie mamie. Mama reagowała bardzo emocjonalnie, ciocia była zawsze spokojna, dawała dużo swobody w wyborach. Obchodziły ją sprawy publiczne, np. była przewodniczącą Ligi Ochrony Przyrody. Korespondowała z rozmaitymi znanymi ludźmi, a oni jej odpisywali, m.in. miała

list od Ministra Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej. Zdawało się, że już ma życie umeblowane, że przeszłość nie będzie się na nim kłaść cieniem. Tymczasem okazało się, że „mężczyzna jej życia” wcale z niego nie zniknął, jak chciała. Odszukał ją i przyjechał na Dolny Śląsk, ciągnąc za sobą żonę. Wiśnia zaczęła się starać o inne miejsce pracy. Dostała polecenie służbowego przeniesienia do Zjednoczenia Przemysłu Cukrowniczego w Warszawie, na pożegnanie kwiaty i nagrodę. Na zdjęciu widzimy znów młodą i atrakcyjną panią Jadwigę Gierzyńską, jedyną kobietę w zespole. Udało się jej dostać do Spółdzielni Mieszkaniowej w Milanówku-Brwinowie. Tylko... nie udało się uciec od „mężczyzny jej życia”.

W latach osiemdziesiątych jechałyśmy razem pociągiem z Warszawy. Z całą rodziną mieszkaliśmy wtedy w Milanówku, o jedną stację dalej. Pociąg stanął w Brwinowie, wyjrzałam jeszcze za ciocią. Z ławeczki na peronie zerwał się bardzo przystojny postawny starszy pan, o śniadej cerze i szlachetnych rysach rzymskiego patrycjusza. Podał wysiadającej z pociągu cioci rękę, potem w rękę ją pocałował, odebrał torbę i odeszli razem. To była miłość aż po grób. Przystojny siwy pan zmarł, niedługo potem, na peronie w Brwinowie, czekając na pociąg z Warszawy.

Końcówka życia (uzupełnia bratanica i chrzestna córka Krystyna Koszykowska). Moje wspomnienia dotyczą głównie wspólnego mieszkania z ciocią, kiedy sama już przeszłam na emeryturę w roku 2000 i mogłam się nią zająć. Ciocia masę czytała i pod koniec życia jeszcze pisała. Kiedy ukończyła 90 lat, pijarzy w Krakowie wydali jej książkę *Rozmyślania* (Kraków 2000). Chciała, żeby te krótkie refleksje były jak dawne robótki ręczne: z wyszytym na kanwie fragmentem wzoru, który trzeba było samemu dokończyć. Rzucała jakąś myśl, a ona miała pobudzać do dalszego myślenia. Jerzy Krzysztoń w audycji radiowej nazwał książkę Jadwigi Gierzyńskiej „filozofią humanistyczną” – zrozumiałą dla każdego. Wyjątki z książki cioci były czytane na jej pogrzebie. Ciocia nie bała się śmierci. Wyreżyserowała swój pogrzeb do najdrobniejszych szczegółów – tu kupicie wieniec, tu wydrukujecie klepsydry itd. Twierdziła, że do śmierci trzeba się przygotowywać przez kilka lat. Taka postawa życiowa umożliwiła Jadwidze Gierzyńskiej przetrwać w dobrej kondycji wszystkie ciosy, jakich nie szczędził jej Bóg.

Kobiety z rodu Talmontów

Małgorzata Talmont (1938-2004). Opowiadają siostrzenica Ania Wojdyła i cioteczna siostra Ewa Siatkowska.

Mała i trochę większa Małgosia. Urodziła się w Zalesiu, koło Płocka, jako trzecia córka Bisi i Czesława Talmontów. Zalesie było rodzinnym gniazdem przez wiele lat. Tu Małgosia dorastała, otoczona miłością rodziny. Ojciec z racji swej pracy był dużo poza domem, ale w pamięci dziewczynek zachowały się nie jego wyjazdy, tylko radosne powroty, kiedy witany był przez całą rodzinę już w przedpokoju (z pamiętnika cioci Bisi). Szczęście trwało krótko, skończyło się 1 września 1939 roku. Czesław Talmont po wielu peregrynacjach trafił do oflagu, a stamtąd już do rodziny nie wrócił. Został po wojnie w Niemczech. Dziewczynki chowały się bez ojca. Małgosia praktycznie go nie знаła. Była wątła, ale nienajlepszą kondycję

fizyczną wynagradzała szybkim rozwojem intelektualnym. Pamiętam, jak w wieku 6, 7 lat, lubiła czytać cokolwiek – sama czynność czytania była dla niej przyjemnością.

Małgosia szuka swojego miejsca w życiu. Po maturze ukończyła psychologię na Uniwersytecie Warszawskim, po magisterium kontynuowała jeszcze studia specjalne z zakresu więziennictwa. Kiedy jednak zaczęły się praktyki w zakładach karnych, okazało się, że jest zbyt wrażliwa, za mało odporna psychicznie do takiej pracy. Ostatecznie przyjęła się w bibliotekoznawstwie. Otrzymała odpowiedzialną i ciekawą pracę w Bibliotece Narodowej w Warszawie.

Miała dużo gustu, ładnie się ubierała. Była bardzo przystojna. Jej duże szare oczy patrzyły to figlarnie, to marzycielsko. Oprawę oczu miała ciemną, szczególnie piękne brwi – cechą wszystkich Rakowieckich. Była bardzo towarzyska. Razem z cioteczną siostrą Asią z Jacobsonów Majzner i kuzynem Andrzejem Hiegerbersgerem tworzyli nierozłączną trójkę. Miała wielkie powodzenie u panów. Sama widziałam, jak ją adorowali. Wśród jej wielbicieli znalazł się nawet Japończyk. Ale, jak często w takich razach bywa, nie związała się z nikim na stałe. Zawsze mówiła, że jej największą miłością jest dom w Komorowie, odziedziczony po babci, w którym mieszkała ze swoją mamą i siostra Rysią, oraz przylegający do domu ogród.

Małgosia, podobnie jak o swój wygląd zewnętrzny, bardzo dbała o wystrój mieszkania. W czym z kolei przypominała swoją ciotkę Lenę. Mimo że taka delikatna zewnętrznie, wykonywała szereg czynności typowo męskich: reperowała dach, odgarniała śnieg, kopała w ogrodzie.

Bardzo lubiła dzieci i one do niej lgnęły. Zajmowała się Anią, córeczką swojej ciotecznej siostry i przyjaciółki Asi Mejzner, która jest współautorką tego wspomnienia. Pisze: „Małgosia była najwspanialszą kobietą, jaką znałam. Często bywała w naszym warszawskim mieszkaniu. Najpierw mówiłam na nią »ciociu«, a potem po imieniu. Mimo że było między nami 20 lat różnicy. Pamiętam jeden czerwcowy dzień. Byłam w przedszkolu, na placu zabaw. Nagle słyszę, że ktoś mnie woła. Rozejrzałam się i zobaczyłam rękę Małgosi, która przez płot podawała moje ulubione czereśnie”. Gdy była taka potrzeba, opiekowała się też synami drugiej ciotki – Rysi – Maćkiem i Wojtkiem. Teraz obydwaj są już ojcami. Maciek ma syna Witusia, a Wojtek córeczkę Zosię. Gdyby żyła Małgosia, pewno opiekowałaby się nimi. Niestety, Bóg chciał inaczej. Przede wszystkim była odpowiedzialną opiekunką starszki matki. Najstarsza siostra Basia Mórawska mieszkała w Bieszczadach, druga – Rysia Kamińska raz była, raz bujała po świecie (mieszkała kilka lat w Australii), Małgosia była z mamą zawsze. Do końca.

Małgosia poetka. Małgorzata Talmont była nie tylko utalentowana plastycznie, ale też literacko. Lubiała pisać wiersze – dla siebie, dla najbliższej rodziny. Przytoczmy jej wiersz poświęcony matce.

Moja Staruszka

Moja Staruszka to kruszynka
Moja Staruszka to odrobinka
Jej codzienne sprawy
paciorek, śniadanko,
telewizorek,

z pigulek układanka,
 rzadziej spacerek, częściej spanko.
 Jej codzienne troski
 to pieski i kotki
 i czy dorosła córka
 włożyła dzisiaj botki.
 Życie się jej skurczyło, zmałało
 tylko serce to samo zostało [...].

Wiersze Małgosi muszą być mierzone specjalną miarą. Ona w nich wyrażała swój stosunek do najbliższych, do rodzinnych tradycji. Strzegła pamięci bohatera: Janka Gościckiego:

W Klukowie jest grób Bohatera
 na wiejskim cmentarzu.
 Był malarzem,
 był młodzieńcem pięknym.
 Jako ochotnik poszedł na front
 w roku dwudziestym
 i zginął...
 Miał duszę artysty
 i talent
 Wszystko oddał dla Polski
 jednym strzałem.

Zwróćmy uwagę na zupełnie inną poetykę obydwu wierszy. Najważniejsza jednak jest treść.

Małgosia swojego wuja nie znała. W wyobraźni stworzyła sobie jego wizerunek wynikający z opisu śmierci. Janek został otoczony przez tłum żołnierzy bolszewickich. Nie chciał dostać się do niewoli. Kiedy zabito jego ukochaną klacz, na której zawsze jeździł, zrozumiał, że nie ma szans ratunku. Wyrzucił cały ładunek swojego sztucera, każdym strzałem zabijając jednego wroga. Ostatnią kulę zostawił dla siebie. Czy jego śmierć była potrzebna, czy to była tylko typowo polska manifestacja? Małgosia uważała, że zginął jak bohater i taki jego obraz chciała przekazać potomnym. Autoportret Janka ozdobił salon w Komorowie.

Zacytujmy jeszcze jeden wiersz Małgosi poświęcony ludziom, z którymi przyszło jej żyć:

Moje pokolenie

Mojemu pokoleniu wpojono zakłamanie
 uczucia wypaczono, prawdę sfalszowano.
 Moje pokolenie całkiem zmarnowano,
 Miłość wykolejono, wiarę pogrzebano.
 Moje pokolenie oszukane było,
 czasem nie wiedziało
 co to znaczy miłość [...]
 Moje pokolenie posiwiła dzisiaj,
 ale nikt go z grzechów dawnych nie rozlicza.

Małgosia wobec ruchów wolnościowych. Świeca się wypala. Małgosia nie zamknęła się w kręgu swojej poezji. Aktywnie przeżywała to, co się działo w kraju. Była patriotką, nie tylko w warstwie językowej, ale i w czynach. Wspierała działalność Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. To piękne młode życie zostało zagrożone. Małgosia w 1996 roku (jeszcze za życia matki) zachorowała na chorobę Parkinsona, na którą zwykle zapadają starsi ludzie. Widocznie tak jej było sądzone. Podała się operacji, mało skutecznej. Pisanie powoli stawało się dla niej problemem. Do tego dochodziły inne objawy: zmiany na twarzy, coraz mniejsza swoboda ruchów. Mimo to, Małgosia jeszcze zorganizowała w parafii pielgrzymkę do Medjugorie. Jeden z ostatnich jej wierszy porusza temat śmierci.

Nie powinniśmy bać się śmierci,
bo jeśli sumienie mamy czyste
będzie jedynie przejściem
od jednego do drugiego bytu.
Śmierć nie jest końcem,
ale drugiego bytu początkiem
Gdy uwierzymy,
że to drugie życie będzie lepsze,
wtedy nasze doczesne życie stanie się
łżejsze.

Taka była Małgosia.

Anna Wanda (Asia) z Jacobsonów Mejzner (1932-2007). Opowiada córka Anna Wanda Wojdyła.

Życie tylko z ojcem. Jakże inaczej mogłoby się potoczyć życie mojej mamy, gdyby nie przedwczesna śmierć babci i gdyby nie wojna. Ileż razy słyszałam o kolejnych macochach – jednej gorszej od drugiej, o bombach lecących na dom, o głodzie, o studiach zaocznych, o pracy w terenie..., o ciężkim życiu. Beztrioskie dzieciństwo skończyło się 4 września 1934 roku, kiedy zmarła matka dwuletnich Asi i Pańcia, jak w rodzinie nazywany był Stefan. Nula jeszcze przed śmiercią zdążyła napisać do dzieci list, który niestety zginął, ale znana jest jego treść. Zapewniała, że bardzo je kocha. Na wszystkich zdjęciach bliźniąt od tego czasu zniknął radosny uśmiech. Po śmierci żony Tadeusz przeniósł się do majątku Faliszowice koło Sandomierza. Dzieci niewątpliwie kochał, ale swoją miłość okazywał im tylko przez robienie prezentów. Sam od dziecka uwielbiał konie, Asi i Stefankowi kupił więc kucyki, a prócz tego dwie kozy, którym wolno było wchodzić do dzieciennego pokoju (oczywiście wskakiwały na łóżka ku zgorszeniu opiekunki pani Heleny). Mama miała też ulubioną kotkę, świnkę morską i jamniczkę.

Jak wynika z tego opisu, w Faliszowicach panowała swoista atmosfera. Druga żona Tadeusza nie miała dzieci i nie umiała ich wychowywać. Zajęta była mężem i końmi. Przed ślubem mieszkała ze swoimi rodzicami w ośrodku hodowli rasowych koni.

A życie płynęło dalej. Przyszedł wrzesień 1939 roku. Szokiem dla siedmioletniej Asi były bombardowania zabudowań majątku, w którym mieszkali. Przekonała się, jak małą

wartość mają rzeczy materialne. W czasie wojny dziadek Tadeusz był czynny w AK. Nie zaprzestał tej działalności po wojnie. Stało się to powodem osadzenia dziadka w więzieniu, mieszczącym się w sandomierskim zamku. Ten okres był dla mojej mamy bardzo trudny. Bała się o życie swojego ojca. Straciła sama poczucie bezpieczeństwa.

W 1948 roku Asia dostała się do Państwowego Liceum Rolniczego w Chyliczkach. Tam poznała Danusię Mejzner, siostrę swojego przyszłego męża. W roku 1950 odnalazła Asię jej ciotka Bisia Talmontowa. To było bardzo ważne wydarzenie w życiu mojej matki. Poczuli się członkiem nowej rodziny.

Dziadek został zwolniony na mocy amnestii. Rozpoczął pracę w Wilanowie jako ogrodnik. W jego rodzinie nastąpiły zmiany. Poznał lekarkę Jadwigę Dziewirzową, rozwódkę. Ponieważ był podwójnym wdowcem (jego druga żona również zmarła), nie było przeszkód do ponownego zawarcia małżeństwa. Lekarka była rozwiedziona. Miała córkę Magdę, mniej więcej w wieku Asi. Niestety obydwie przyrodnie siostry nie były przez panią Jadwigę traktowane jednakowo.

Tadeusz Jacobson zachorował na raka krtani. Cały ciężar pielęgnacji ojca spadł na Asię. Kiedy zmarł, odprowadziło go do grobu tylko kilka osób.

Asia wspomina: „moja mama, ucząc się, cały czas pracowała i jeszcze miała czas na miłość. Jak opowiadały mi mamy koleżanki, rodzice pobrali się z wielkiej miłości. Podobno, kiedy mama zdawała egzamin magisterski, tata czekał pod drzwiami, żeby na odległość dodawać jej otuchy”.

Dodatek. Ewa Siatkowska – Asia mi się zwierzyła: „Jurek był za ładny”. Widocznie z miłością jest jak z przesoloną zupą: nie może jej być za dużo. Ciekawe, że następne małżeństwo „za ładnego Jurka” trwało do końca życia.

Kilka uwag na zamknięciu

Omówionych zostało jedenaście sylwetek kobiecych. Z tego dwie kobiety samotne (singielki): Wiśnia Gierzyńska i Małgosia Talmont, jedna rozwiedziona Asia Mejzner, która powtórnego małżeństwa nie zawarła, choć powtórnie ożenił się jej mąż, oraz siedem „czynnych” mężatek, czyli Walentyna Gościcka, Lila Rakowiecka, Ziułka Gierzyńska, Lena Roszkowska, Nula Jacobson, Bisia Talmont, Ewa Przyłubska i Hanna Korycińska.

Już ta mała próbka wykazuje duże różnice ze stanem współczesnym, znanym nam z autopsji. Jak stanowi opis, poparty badaniami naukowymi, mniej więcej co trzecia zamężna kobieta, urodzona w drugiej połowie XX wieku, jest obecnie rozwiedziona lub żyje w separacji z mężem. Liczba kobiet w nieformalnych związkach, które nigdy nie zawierały ślubu, jest trudna do określenia, bo często się zmienia. W moim materiale takiego przykładu w ogóle brak. Uczucie łączące Wiśnię z „mężczyzną jej życia” było idealne. Niezbicie wykazuje to obecny kryzys małżeństwa.

Niewątpliwie trwałość małżeństwa jest uzależniona od jego jakości, co sprawdzało się w prezentowanym materiale. Jedynie nietypowy był związek Hanny Korycińskiej z Janem Kantym Gościckim, omówiony dodatkowo. Było to małżeństwo zawarte w starszym wieku, z pobudek ekonomicznych (w każdym razie ze strony męża). Spoiwem w dalszym ciągu była

trudna sytuacja materialna męża i jego mała zaradność życiowa. Małżeństwo zapewniało mu spokojną egzystencję, dlatego po okresie burzliwej młodości w małżeństwie poprzednim godził się na rządy żony. A żonie pewno bardziej odpowiadał status mężatki niż kobiety niezamężnej, chciała więc męża zatrzymać przy sobie. Raczej uczucia w tym stadle nie było. Przypuszczam, że tego typu związki zdarzały się i zdarzają nadal, niezależnie od czasów. Należą jednak do rzadkości.

Model w przeszłości wciąż powielany stanowił poprzedni związek Jana Gościckiego. Wala Gościcka była w moim materiale ostatnią reprezentantką układu, w którym liczył się tylko mąż, a żona żyła w jego cieniu. Sprawy te znane są z innych źródeł. Był to model patriarchalny, charakterystyczny dla kultury rycersko-szlacheckiej, która w Polsce długo przetrwała. Na przykład czeska kultura mieszczańska preferowała model partnerski (mąż i żona razem pracowali zarobkowo, razem też ponosili odpowiedzialność za dom). Wala w małżeństwie zajmowała pozycję podrzędną. Kiedy mąż, wbrew obietnicom, nie wracał do domu, nie śmiała robić mu wymówek.

Druga generacja, a więc Lila Rakowiecka i Ziułka Gierzyńska nie były już tak bardzo zdominowane przez mężów, były bardziej samodzielne. Tu dygresja poza chronologią. Bisia Talmont, tak jak Ewa Przyłubska, jak wiele lat wcześniej Honorata Piwkowska, przez zawieruchy wojenne zmuszone były do samodzielności.

Przejdźmy do spraw emocjonalnych. Maria (Lila) Rakowiecka, Lena Roszkowska i Ewa Przyłubska miały małżeństwa najbardziej chyba udane, choć raczej nie były one zawarte z wielkiej miłości i takiej wielkiej miłości później nie pielęgnowały. Były „zwyczajne”, oparte na wzajemnym szacunku i przywiązaniu, oraz ukierunkowane na wychowanie dzieci. Zachował się fragment listu Lili do siostry Ziułki wyrażający jej poglądy na życie w małżeństwie: „kochajcie się, to grunt i podstawa życia, to słodycz, jaka z serc wypływa dla otaczających, umilając ten codzienny żywot wdzięcznością przepelnionych serc”. Nie ma tu mowy specjalnie o miłości do męża. On był częścią środowiska, w jakim żyli. „Porucznik” Żorż, choć przed Lenką upadł na kolana, nie zakochał się od razu, stopniowo ulegał urokowi jej czarnych oczu. Ona mu potem stworzyła miłe przytulne rodzinne gniazdko. Najwięcej wiem o małżeństwie mojej mamy. Zawsze mężowi pomagała. Kiedy rozpoczął pracę nad elementarzem, rzuciła wszelkie inne zajęcia i bez reszty poświęciła się mężowi. Ich życie płynęło razem, nie obok. Romantyczną miłość, pozamałżeńską, pielęgnowała do śmierci Ziułki i to ją zżerało. Królewicz z bajki z pewnością nie pamiętał o Kopciuszku w żółtej sukience, a zacyzny ślubny mąż w końcu zdradził, może czuł się z kolei zbyt mało kochanym?

Dramatem było małżeństwo Nuli. Złożyło się na to kilka przyczyn. Pierwszą było usposobienie obojga małżonków: obydwójce byli emocjonalnie niezrównoważeni, wybuchowi, wbrew pozorom – egocentryczni. Drugą przyczyną był przykład rodziców. Nula, jak wspomniano, stawiała małżeństwu wysoką poprzeczkę, oczekiwała męża ideała, natomiast Tadeusz miał w pamięci własnego ojca, swojego czasu mającego romans z guwernantką, o którym jako dziecko wiedział. Kiedy matka raz wyprowadziła go za rączkę z pokoju ze słowami „chodź synku, nie mamy już ojca”, te słowa nań wpłynęły, a romans – ze względu na dziecko – się skończył, niemniej wszystko wpłynęło na syna, który stwierdził, że flirty pozamałżeńskie to nic złego, przeciwnie – dodają męskości.

Nie można też nazwać dobrym małżeństwa Bisi Talmont, chociaż i tam nie brakowało miłości, przede wszystkim długoletniej tęsknoty spowodowanej rozstaniem. Sytuacja ogólnoswiatowa rozbiła to, początkowo dobre, małżeństwo. Czesław, podobnie jak Roszkowscy, bał się wrócić do komunistycznej Polski. Próbował, niestety bezskutecznie, sprowadzić rodzinę do Niemiec, gdzie zamieszkał i gdzie przedwcześnie umarł. Bisia się go nie doczekała.

A jak układało się życie kobiet niezamężnych? W naszym materiale jest jedna kobieta rozwiedziona Joanna Mejzner. Rozwód jej można uznać za wzorcowy. Dziecko na nim nie ucierpiało. Jeszcze teraz, po wielu latach, córka zaprzyjaźniona jest z drugą żoną taty, traktuje ją jak rodzinę. Potrzeba jest dużo kultury osobistej i altruizmu, żeby do takiej sytuacji doszło. Choć lepiej byłoby, żeby takiego małżeństwa w ogóle nie było, nie byłoby wtedy z pewnością żadnego rozgoryczenia. A może, jak powiedziała córce po latach Asia, lepiej byłoby, gdyby wzięli ślub kościelny, bardziej zobowiązujący?

Wreszcie dwie singielki, należące do różnych pokoleń: Jadwiga Gierzyńska i Małgorzata Talmont. Obydwie stanowią przykład osób oddanych całej rodzinie, uspołecznionych, dalekich od dawnego stereotypowego wizerunku starej panny. Może wpłynęła na to ich niezależność ekonomiczna, nie musiały być dla nikogo ciężarem. Wiśnia Gierzyńska przeżyła osobistą tragedię – nie ożenił się z nią „mężczyzna jej życia”, ale idealna ich miłość trwała do grobu. Kiedy nastąpił jej kres, Wiśnia się psychicznie nie załamała, dalej myślała i działała w kategoriach społecznych. Wcześniej nie zżerała jej zazdrość, nie wymagała od „swojego mężczyzny” rozwodu z tą kobietą, z którą musiał się ożenić.

W tym materiale na jedenaście kobiet dziewięć miało dzieci, a wszystkie odznaczały się instynktem macierzyńskim. Nie wystąpiło, spotykane dziś nierzadko, zjawisko biologicznej bezpłodności lub duchowej niechęci do macierzyństwa, przeszkadzającego w osiągnięciu kariery zawodowej.

Inna była barwa miłości w małżeństwie. Okazało się, że najtrwalsze są związki uczuciowo ustabilizowane (Lila i Witold, Lena i Żorż, Ewa i Feliks), natomiast związki uczuciowo gorące (Nula i Tadeusz, Asia i Jurek) rozpadły się szybko. Nie chcę tego zjawiska absolutyzować, ponieważ jest ono bardzo indywidualne, ale może warto mu się przyjrzeć. Z tak szczupłego materiału nie można wysnuwać więcej wniosków. Te, które wymieniałam powyżej – powtarzam – mają tylko charakter sygnałów, zachęcających do dalszych badań.